ŚWIAT



Nr. 20. DNIA 20 MAJA 1933 ROKU

TREŚĆ:

MAJ



WYDZIAŁ ZAOPATRYWANIA
ZARZĄDU GŁÓWNEGO LIGI OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ
Warszawa, ul. Wierzbowa 9. Tel. 704-26

zawiadamia, że Ośrodek Propagandy (ul. Świętokrzyska 12, tel. 533-92, otwarty od 8—19) i Składnica Główna (Żoliborz, Aleja Wojska Polskiego, tel. 11-37-56) zaopatrzone są całkowicie w sprzęt dla obrony przeciw skutkom wojny gazowo-lotniczej.

Bogaty dział wydawnictw i literatury popularnej i fachowej z tej dziedziny.

Dla prac konstruktorskich w dziedzinie lotnictwa różnorodny materjał modelarski, modele samolotów, wydawnictwa fachowe.

Dla przemysłu sprzęt, związany z pracą robotnika, jak: aparaty tlenowe, maski specjalne z pochłaniaczami przeciwko dymom i innym szkodliwym substancjom, maseczki pyłochronne, okulary ochronne dla różnych prac w przemyśle i t. d.

Dla straży pożarnych specjalne maski przeciwdymowe; dla kin szafki bezpieczeństwa z maskami ochronnemi na wypadek pożaru.

Ceny obecnie zniżone; nowy cennik na żądanie Wydział Zaopatrywania wysyła bezpłatnie z podaniem ogólnych warunków sprzedaży.

Zamówienia większe i pozamiejscowe prosimy kierować do Wydziału Zaopatrywania, Wierzbowa 9.

W Ośrodku Propagandy dla ułatwienia P. T. Publiczności przyjmowane są zapisy na członków L. O. P. P. oraz uskutecznia się sprzedaż biletów i udziela informacyj co do komunikacji lotniczej Polskich Linij Lotniczych „Lot", a także przyjmuje się prenumeratę fachowego ilustrowanego miesięcznika, poświęconego lotnictwu, p. t. „Lot Polski".



ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 20-go MAJA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 20 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY



Oficer w społeczeństwie

— „Idzie wojskowy, więc napewno będzie awantura". — Tak się wyraził w nocnej restauracji jeden ze świadków, stający w głośnym procesie majora dypl. Stawińskiego o zabójstwo inż. Jankowskiego.

Słusznie prokurator major Witecki zaniepokoił się tą opinją. „W niektórych umysłach — mówił on — wytworzyło się mniemanie, że oficerowie polscy to element burzliwy, bywający przyczyną awantur... Okrzyk ten jest dowodem groźnego rozłamu, jaki zarysowuje się między armją a pewną częścią społeczności cywilnej".

Niepokój prokuratora wojskowego podzielają szerokie sfery naszego społeczeństwa. Nic bowiem niema groźniejszego dla narodu i państwa nad wyodrębnianie oficerów w osobną kastę, unikanie ich w obawie narażenia się na przykrości, przypisywanie im tendencji zaczepnych, lekceważących czy wrogich w stosunku do ogółu obywateli.

Że takie nastroje istnieją w społeczeństwie, przekonaliśmy się dobitnie w toku procesu mjr. Stawińskiego nietylko ze słów świadków: „Oho, wchodzą oficerowie, może być źle", ale też z zachowania się publiczności w dniu zabójstwa w „Caveau Caucasien". Kilkunastu mężczyzn z pośród kelnerów, muzyków i gości restauracyjnych widziało, jak major Stawiński brał rewolwer z mufki swej przyjaciółki, wyjmował go z futerału, repetował, podchodził do ś. p. Jankowskiego — i nikt ze stojących i siedzących tuż obok niego nie ośmielił się przeszkodzić tym przygotowaniom do zabójstwa, gdyż bali się interwenjować wobec wojskowego.

Ten zbiorowy lęk pochodzi z przeświadczenia, jakoby oficerowi wolno było strzelać i zabijać, czeka go za to minimalna kara, albo całkowite uniewinnienie.

Z tego rodzaju mniemaniem najskuteczniej mogą walczyć sądy. To też jeszcze raz należy zgodzić się z rozumną i przepojoną troską o zdrowie moralne armji mową prokuratora mjr. Witeckiego, który, domagając się sprawiedliwości, oświadczył: „Idzie tu o coś więcej, niż o karę... Jeśliby był uniewinniony zabójca, dziś jeszcze — obym był fałszywym prorokiem — może inny oficer w podobnych warunkach znów zabić niewinnego człowieka".

„Podziemia Kaukaskie" nie były bowiem pierwszem miejscem tragicznego zajścia. Niema roku, żeby w „Astorji", w „Oazie" czy w innym lokalu rozrywkowym nie padły strzały i nie musiała interwenjować Komenda Miasta.

Mylny byłby jednak wniosek, że żywioł oficerski jest u nas nastrojony wybitnie awanturniczo. Nic podobnego! Ogół oficerów polskich odznacza się statecznością, opanowaniem, taktem. Łatwo to zaobserwować w ścisku tramwajowym, przed okienkiem kas teatralnych, czy w innych większych skupiskach. Jeśli się zdarzają krewkie temperamenty, jeśli tu i owdzie dochodzi do scysji z oficerem, to z pewnością nie są to wypadki częstsze, niż zajścia z literatami, adwokatami, malarzami czy przedstawicielami innych zawodów inteligenckich. Ta jednak istnieje różnica, że o zamieszanym w awanturę „cywilu" nikt nie wie, do jakiego należy fachu, żadnej grupy

społecznej w opinji on nie obciąża, gdy oficera każdy widzi, kwalifikuje i potępia.

I jeszcze jedno: człowiek cywilny rzadko ma przy sobie broń, a jeszcze rzadziej posługuje się nią. Oficerowie pod tym względem zdradzają większą nerwowość: żywią oni przekonanie, że w obronie swego honoru, honoru munduru powinni zrobić natychmiastowy użytek z rewolweru lub szabli. A przecież nie każda scysja osobista wymaga przelewu krwi; przecież często niema wcale chęci obrazy; mogą się tylko nieszczęśliwie ułożyć okoliczności; mogą powstać pozory obelgi, może się zdarzyć omyłka, nieporozumienie. Ileż to incydentów załatwia się przeprosinami, wyjaśnieniem, odwołaniem. Jednego tylko cofnąć nie można — kuli rewolwerowej. Życia ludzkiego nikt nie przywróci. To też należy szczepić większe jego poszanowanie.

Tak się nieszczęśliwie zdarza, że najmniej je cenią ci oficerowie, którzy uczęszczają do nocnych dancingów i kabaretów. Może dlatego, że najwięcej obawiają się tam narazić na szwank swe szlify. Zaradzić sprawie mógłby zakaz chodzenia w mundurze do tego rodzaju zakładów rozrywkowych. Wogóle najlepiej byłoby, gdyby przyjął się u nas francuski zwyczaj noszenia uniformu tylko podczas służby; w życiu prywatnem zaś — do teatru, do restauracji, w gościnę powinni oficerowie chodzić po - cywilnemu. Odprężyłoby to ich nerwy, ciągle napięte wskutek potrzeby czuwania nad honorem munduru; dałoby im prawdziwy wypoczynek i pełną rozrywkę; zapobiegłoby wielu aż nazbyt często zdarzającym się tragedjom; a nadto odjęłoby Polsce wygląd państwa militarnego, co tak razi cudzoziemców, nieprzyzwyczajonych do oglądania tylu mundurów na ulicach miast i we wszystkich lokalach publicznych.

Miałoby to też zbawienny wpływ na psychikę oficerów; zespoliłoby ich bardziej ze społeczeństwem, nadało im równouprawnienie, którego dziś nie chcą czy nie mogą uznać. Klasyczny wypadek takiego nierównego traktowania przedstawia sprawa majora Stawińskiego. Jakżeż to bowiem? On pierwszy uderzył w twarz ś. p. Jankowskiego, odrzucił jego bilet wizytowy, uniemożliwił honorowe załatwienie zatargu, a gdy wobec tego sam zostaje znieważony — zabija bezbronnego przeciwnika. Plastycznie i objektywnie przedstawił to prokurator:

— Nie wiedział ś. p. Jankowski, kto go znieważył i kto mu da za to satysfakcję. Wyszedł i wrócił z biletem, na którym napisał swój adres, i podał go majorowi z nadzieją, że może teraz dowie się, co to za bezimienny napastnik odebrał mu honor. Ale bilet jest odtrącony. Nie uciekł wtedy, lecz odpowiedział policzkiem samemu krzywdzicielowi za to, że nie chciał uchylić przyłbicy. Stał spokojny, wierząc niezachwianie w słuszność swej sprawy. Jeden krok, jeden ruch głowy mógł mu ocalić życie, nie zrobił go jednak. Stał jak głaz, przez te długie, jak wieczność, sekundy, gdy major wyrywał paniom mufkę, wyciągał z niej broń, otwierał pochewkę, repetował i przyskakiwał do niego. Spokojnie patrzył w tę lufę, prawie przytkniętą do twarzy, wierząc w swą niewinność. Wtedy padł strzał...

— Było to zachowanie się prawdziwie rycerskie — stwierdza prokurator. A opinja taka o postępowaniu „cywila" jest tem cenniejsza, że pochodzi z ust oficera.

Więc niekoniecznie trzeba być wojskowym, aby zachować się po rycersku. Nic niema mylniejszego, niż twierdzenie, że honor oficera jest wyższego gatunku od honoru ludzi ubranych po-cywilnemu; nic niema szkodliwszego od usprawiedliwiania wzburzenia psychicznego znieważonego oficera tem, że honor jest największem dobrem oficera, jakgdyby honor nie był także największem dobrem lekarza, nauczyciela, publicysty czy innego pracownika cywilnego.

„Musi zginąć ten oficer-kastowiec, który uważał siebie przez całe życie za coś lepszego i wyższego od reszty społeczeństwa, wymagał dla siebie jakichś przywilejów, a wszystko na tej podstawie, że jest on tym, który będzie swoją krew na wojnie przelewał"... — pisał ś. p.



Tadeusz Hołówko. — Dziś się okazało, że bije się i ginie na wojnie nietylko oficer zawodowy, lecz i ten „cywil" pogardzany, który jako oficer rezerwy przywdziewa mundur i idzie spełniać swój obowiązek wobec Ojczyzny. Trzeba więc, by oficer polski uświadomił sobie, że nie jest on w niczem ani lepszy ani gorszy od reszty ogółu, że jest kością z kości, krwią z krwi tego społeczeństwa. Winien zrozumieć, że jest takim samym funkcjonarjuszem państwowym, jak listonosz lub kancelista ministerjalny. Winien zrozumieć, że jego obowiązkiem jest uczyć sztuki wojennej, tak jak obowiązkiem nauczyciela ludowego uczyć sztuki czytania i pisania. To jest funkcja oficera; a gdy przyjdzie wojna, to pójdzie bić się nietylko on, lecz i listonosz, i nauczyciel, i kancelista, i urzędnik — wszyscy pójdą".

To równouprawnienie oficerów, którego z taką siłą przekonania domagał się jeden z najbardziej miarodajnych ideologów dziś rządzącego obozu, wyrazić się winno przedewszystkiem w poddaniu sądom powszechnym zbrodni pospolitych, dokonanych przez wojskowych. Istnienie dla nich odrębnego korpusu sądowego nie jest zgodne z ogólną zasadą współczesnego wymiaru sprawiedliwości. Stanowi ono pozostałość średniowiecznego systemu sądownictwa stanowego, gdy szlachcica mogła sądzić tylko szlachta, mieszczanina—sąd grodzki, księdza — sąd duchowny. Jedynie za ściśle wojskowe przewinienia oficerowie i żołnierze powinni ponosić odpowiedzialność dyscyplinarną przed własnemi władzami, jak to dzieje się z urzędnikami państwowymi.

Wtedy zniknie niewspółmierność kar, nakładanych za te same przestępstwa na cywilnych i wojskowych.

„Widzimy dwa zasadnicze typy oficera — pisał Tadeusz Hołówko —: jeden oficera-kastowca, izolowanego od reszty społeczeństwa, drugi — oficera-obywatela, ściśle z tem społeczeństwem związanego, niczem od każdego przeciętnego obywatela nie różniącego się i w niczem nie uprzywilejowanego".

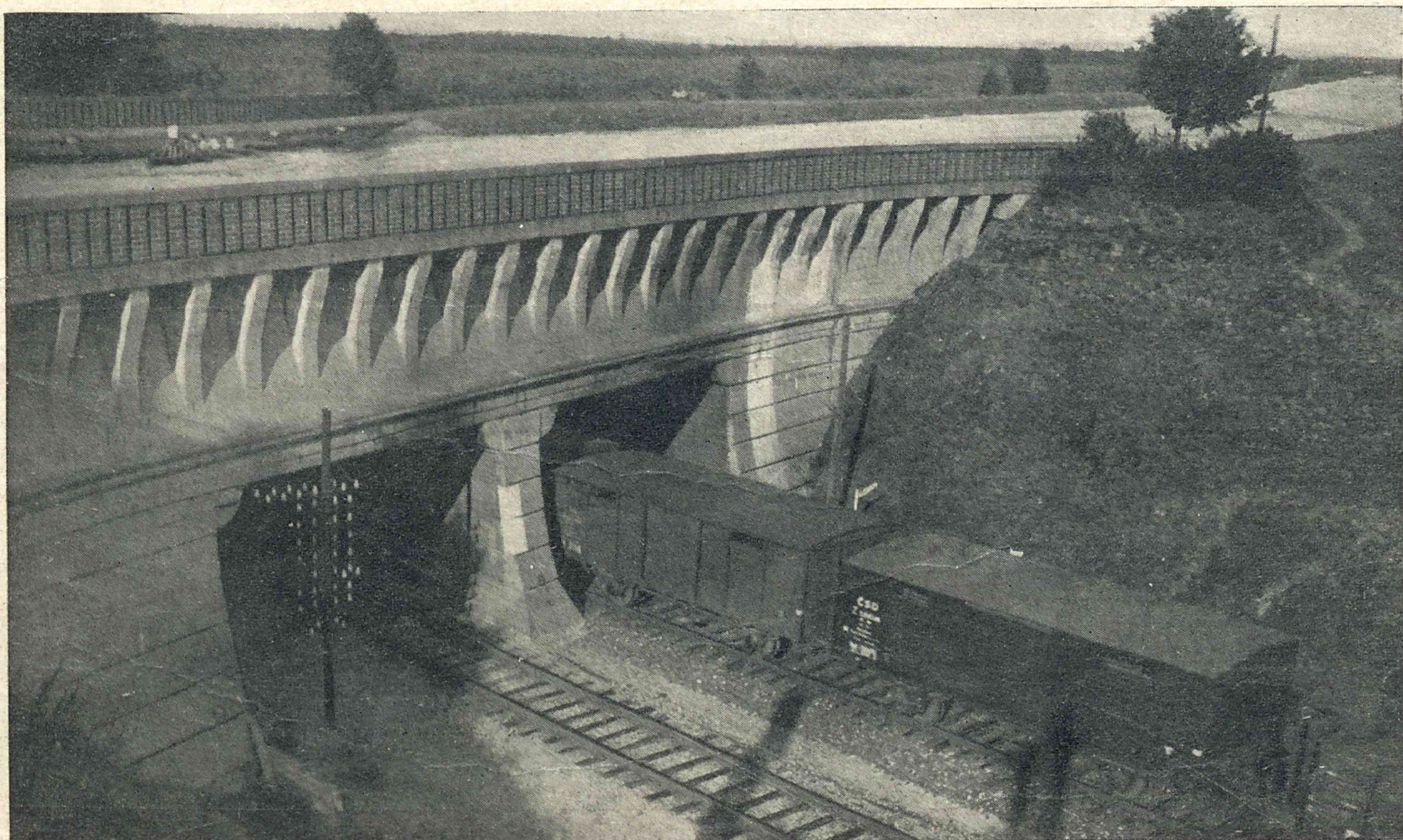
Nie potrzebujemy nadmieniać, że tylko ten drugi typ chcielibyśmy mieć w Polsce. Tego zdania są nietylko reprezentanci myśli państwowej, jak ś. p. Tadeusz Hołówko, ale też, sądząc z mowy oskarżycielskiej majora Miteckiego, — światli przedstawiciele polskiego korpusu oficerskiego.

W. Giełżyński

GDY WIŚNIE KWITNĄ...

Rodzina japońskiego ambasadora w Waszyngtonie rozkoszuje się wiosną w pięknym parku, przypominającym ojczyznę

DZIWY TECHNIKI WSPÓŁCZESNEJ



Na szlaku Berlin—Szczecin linja kolejowa przechodzi pod kanałem, zwanym Finowkanal. Jest to bodaj jedyny wypadek w świecie: nie most stoi nad wodą, lecz woda płynie po moście



TYDZIEŃ ŚWIATA

Oczy na Gdańsk

(V.) Polityka narodowa Niemiec powojennych jawnie zmierzała do połączenia z Rzeszą Austrji i do ponownego zagarnięcia Gdańska. Jedno i drugie dążenie było na drodze ku realizacji: w Austrji, obok Wszechniemców zwolennikami Anschlussu byli socjal-demokraci i różne grupki radykalne; jedynie katolicka Chrześcijańska Demokracja broniła niezależności — coraz słabiej. Gdańsk nieustannie manifestował swe pangermańskie uczucia, a wielkie mocarstwa zaczęły godzić się z myślą oddania nietyle „wolnego", co „swawolnego" miasta pod batutę Berlina, tłumacząc Polsce, że ma z jego powodu tylko kłopoty.

Te dwa zwolna dojrzewające procesy miał przyspieszyć „prawdziwie narodowy" rząd Hitlera. I począł działać. Skutek okazał się nieoczekiwany: Austrja odgradza się teraz od Niemiec, jak od djabła, a najwięcej protestują przeciw Anschlussowi centralistycznie dotychczas usposobieni socjal-demokraci; wielkie mocarstwa, a przedewszystkiem Anglja bezwzględnie przeciwstawia się zmianie sytuacji międzynarodowej Gdańska i podziwia pełną powściągliwości politykę polską, tolerującą antykonstytucyjne wybryki gdańskich hitlerowców.

Istotnie, zaczynają oni postępować, jakby nowe prawa i zwyczaje niemieckie obowiązywały już i w Wolnem Mieście. Naśladując Rzeszę, zagarnęli gmach związków zawodowych, zawiesili pisma opozycyjne, biją i aresztują swych przeciwników politycznych, a policja gdańska, zamiast strzec porządku i prawa własności, ochrania gwałcicieli.

Polska nie może pozostać obojętną wobec faktów, zachodzących na terenie Wolnego Miasta. Zapanowanie tam anarchji i bezprawia zagraża naszym interesom materjalnym i moralnym. Oczywiście, że dopóki nasze instytucje, nasi przedstawiciele i nasi obywatele w Gdańsku nie są przedmiotem agresji, nie możemy interwenjować bezpośrednio, ale już teraz dyplomacja nasza winna na forum Ligi Narodów i u wielkich mocarstw domagać się zabezpieczenia w Gdańsku normalnych stosunków, opartych na układach międzynarodowych i wewnętrznej konstytucji.

Zapewnienia p. Foerstera, posła do Reichstagu, a jednocześnie komisarza hitlerowskiego w Gdańsku, złożone wobec p. Rostinga, nikogo uspokoić nie mogą. Są to puste słowa, gdy czyny idą w kierunku przeciwnym: — ku podporządkowaniu władz Wolnego Miasta kierownictwu Kanclerza Rzeszy.

Do tego Polsce nie wolno dopuścić! Musimy dziś oczy skierować na Gdańsk i czujnie śledzić, co się tam dzieje.

Federacja międzynarodowa wydawców

(r) W Hadze odbył się zjazd przedstawicieli Związków Wydawniczych Dzienników i Czasopism celem utworzenia Międzynarodowej Federacji tych zrzeszeń. Jest to jedno z ogniw tego łańcucha usiłowań, które są jakby uzupełnieniem prac Ligi Narodów nad wytworzeniem solidarnego współdziałania różnych narodów na wszelkich terenach pracy. Federacja wielkich Związków Wydawców Dzienników i Czasopism różnych krajów miałaby szczególne znaczenie, mogłaby stać się potęgą, wywierającą znaczny wpływ na opinję kulturalnego świata.

Związek Polskich Wydawców Dzienników i Czasopism reprezentował w Hadze p. Stanisław Kauzik, dyrektor tegoż Związku. Był podejmowany ze szczególną gościnnością i wyróżnieniem, zwłaszcza przez p. H. Kuypersa, jednego z najwybitniejszych potentatów prasowych w Hollandji, wydawcę wielkiego dziennika „De Maasbode". Wszystkie dzienniki holenderskie zamieściły sprawozdania z przemówień p. Kauzika podczas uroczystości zjazdowych, a przy tej okazji wzrosło silnie zainteresowanie sprawami polskiemi, wyjaśniło się wiele rzeczy, o których w Holandji wiedziano mało i niedokładnie.

Udział polaków w tego rodzaju konferencjach należy do najlepszych sposobów propagandy. Oczywiście, o ile delegacja jest dobrze wybrana...

Tani tydzień książki

(B.) Księgarze nasi urządzili dorocznym zwyczajem na całym obszarze Rzeczypospolitej wyprzedaż nakładów beletrystycznych, naukowych, słowników, podręczników wszelkiego typu. W roku bieżącym zastosowano pewną inowację: po zniżonych cenach poszli nawet tacy autorzy, jak Żeromski, Reymont, Prus, Zapolska, Perzyński, Przybyszewski w wydaniach estetycznych, na dobrym papierze. Słowniki sprzedawano z upustem 30, 40% od ceny katalogowej. Niektóre wydawnictwa utworów cudzoziemskich, przełożonych na język polski, można było nabyć taniej w księgarniach, niż u ulicznych sprzedawców. A jednak... ruch był zaledwie średni.

Wszystkie warstwy społeczne musiały zredukować swoje potrzeby w każdej dziedzinie; szczególnie zaś w rubryce „kultura", „książka",



Posiedzenie organizacyjne Międzynarodowej Federacji Wydawców Czasopism w Hadze
Pierwszy od lewej siedzi dyrektor Związku Polskiego, p. St. Kauzik

ZMIANY W RZĄDZIE



Minister oświaty Janusz Jędrzejewicz został prezesem Rady Ministrów



Podsekretarz stanu dr. Bronisław Nakoniecznikow-Klukowski objął tekę rolnictwa

„czasopismo" porobiono może nazbyt daleko idące oszczędności!

Nikt przecież nie wyzbywa się szczotki do zębów i mydła. Czyż nie równoznaczne są z temi przedmiotami pierwszej potrzeby dziennik, tygodnik, książka?

Szkodliwe imprezy

(sk) Jeden z czytelników „Świata" nadsyła nam następujące uwagi:

— Występy zespołu francuskiego p. Mistinguett i zagraniczna impreza taneczna w Cyrku wyciągną z Warszawy i z Polski na rzecz cudzoziemskich impresarjów i artystów kilkaset tysięcy złotych. I to w chwili, kiedy wszystkie miejscowe przedsiębiorstwa widowiskowe, nie wykluczając najlepiej prowadzonych teatrów, prowadzą rozpaczliwą walkę o życie.

Zagranicą występy obcych artystów wszędzie spotykają się z największemi trudnościami. Miałażby tylko Polska otwierać szeroko bramy dla wszelkich sensacji, pozbawionych jakichkolwiek wartości artystycznych, obliczonych wyłącznie na najniższe instynkty szerszych warstw publiczności?

Bo, oczywiście, nie chcemy izolować Polski od rzetelnej sztuki. Każdego artystę cudzoziemskiego wyższej wartości i poziomu chętnie powitamy w naszych progach. Do tej kategorji przecież nie możemy zaliczyć p. Mistinguett i jej towarzyszek, a już imprezę cyrkową musimy wprost nazwać jednym z przykrzejszych objawów nowoczesnego barbarzyństwa, nie godnym stolicy Odrodzonej Polski.

Caveant consules!...

Wrogowie zieleni

(ivr) W najbliższej przyszłości uboga w zieleń Warszawa straci znów jeden z najpiękniejszych zakątków. Tow. Ogrodnicze rozpoczęło parcelację ogrodu, zwanego Bagatelą. Pod ciosami siekier padają już wiekowe kasztany. Przed paru laty ofiarą niszczycielstwa padł ogród Frascatti. Teraz przyszła kolej na Bagatelę.

Stolica, pozbawiona w śródmieściu niemal zupełnie zieleni, zamiast tworzyć nowe rezerwaty powietrza, dewastuje je w barbarzyński sposób. A przecież gruntów pod budowę w wielkiej Warszawie nie brak!

Rzecz charakterystyczna, że zniszczenie Bagateli jest dziełem instytucji, która uprawia propagandę... zadrzewiania Warszawy. Tak wyglądają piękne hasła w praktyce!... Dziwić się należy, że miasto udzieliło zezwolenia na zniszczenie jednego z najpiękniejszych zakątków.

Są rekordy w Warszawie

(bg) Nogi to rzecz ważna i cenna. Człowiek stoi na nogach. Świat stoi na człowieku. Więc nogi to podstawa istnienia. Trzeba mieć mocne nogi.

Taniec rzecz piękna i ceniona. Obrządek wywodzi się od tańca. Poezja, muzyka, sztuka teatru od tańca się poczęły. Można tańczyć. Trzeba tańczyć.

Ale czy w cyrku i aż kilkanaście dni i tyleż nocy bez przerwy?

Rekord... Prawda. Potrzeba rekordów. Cały świat bije rekordy.

. . . .

Po rekordzie na mocne nogi proponujemy drugą serję. Na mocną głowę. Więc:

1) Ile kto dni i nocy będzie w stanie czytać książki?

2) Ile dni i nocy może bez przerwy słuchać symfonicznej muzyki?

3) Ile dni i nocy oglądać obrazy?

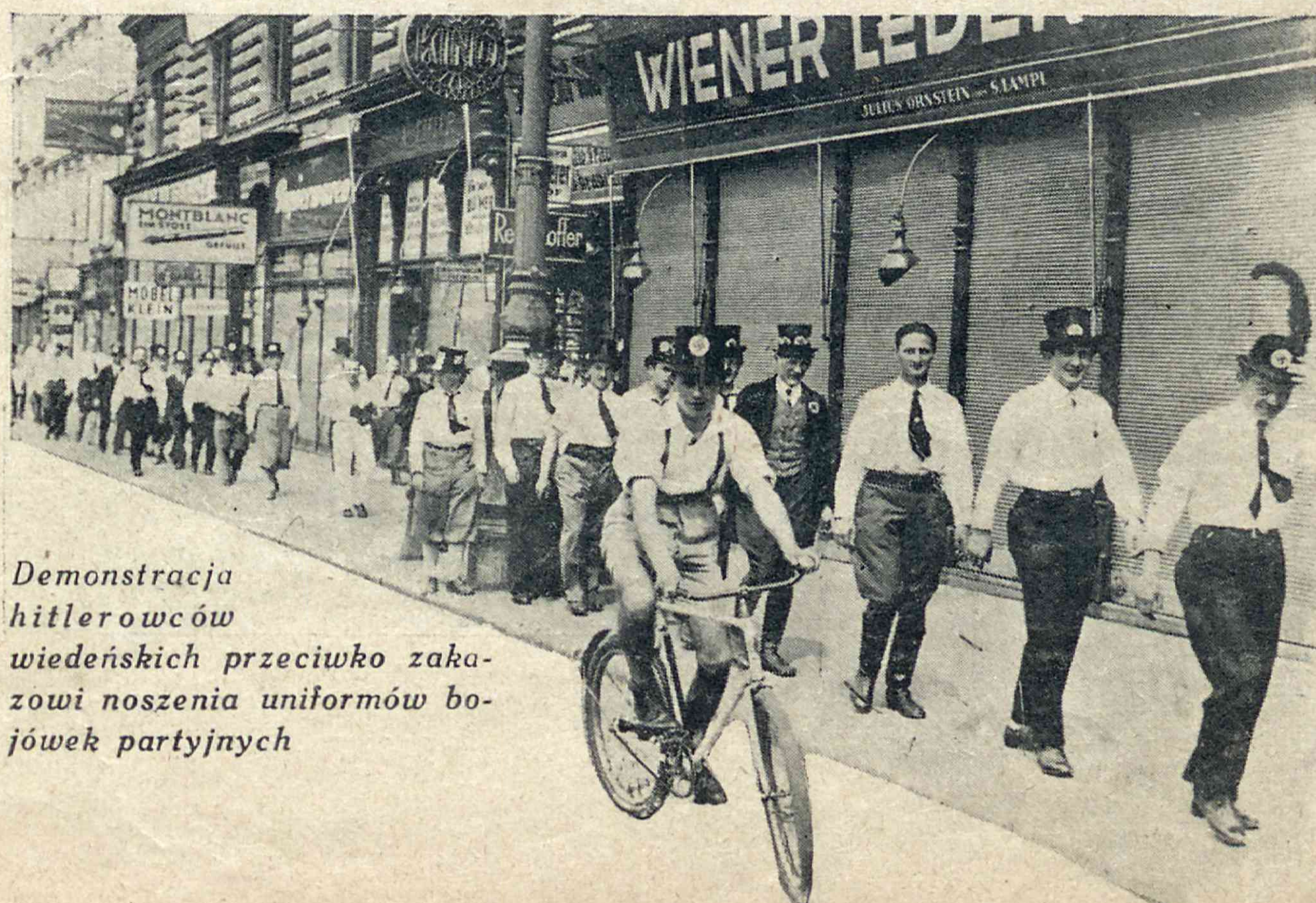
4) Ile tygodni spędzić w teatrze? (7 wieczorów, 7 popołudniówek, co drugi dzień poranek).

I t. d.

Stopniowo postawimy na nogi: księgarstwo, muzyków, malarzy, teatr.

Jest idea...

MASKARADA W POLITYCE



Demonstracja hitlerowców wiedeńskich przeciwko zakazowi noszenia uniformów bojówek partyjnych



Dzielnica „Bus-bir" w Casablanca

„Kus-kus" i jarmark arabski

(Z wycieczki statku „Polonia")

Kto w dzisiejszych czasach chce podróżować wygodnie, bez paszportu zagranicznego, miło i niedrogo, niech uda się pod skrzydła „Linji Gdynia — Ameryka". Kompanja ta wzorowo organizuje najbardziej skomplikowane wycieczki morskie. Świeżo dała tego świetny dowód w czasie 24-dniowej podróży „Morzem po słońce Afryki". Zaświadczy to z zapałem każdy z owych 330-tu pasażerów z całej Polski, którzy 3 kwietnia wyruszyli na pokładzie największego polskiego statku pasażerskiego „Polonia" na zdobycie „czarnego lądu".

Przywykło się w życiu do przesadnej reklamy, do przyrzekania złotych gór i sypania piaskiem obietnic w oczy. „Linja Gdynia — Ameryka" nietylko dotrzymała wszystkich zapowiedzi prospektu, ale w wielu szczegółach dała pasażerom więcej, niż oczekiwali. Cała więc podróż odbyła się przy pięknej pogodzie (z wyjątkiem jednego niespokojnego dnia u brzegów Hiszpanji), w świetnych nastrojach i ku powszechnemu zadowoleniu. Od kapitana statku p. Mamerta Stankiewicza, poprzez oficerów i załogę aż do najmłodszego kelnera — wszyscy z niesłychaną uprzejmością dbali na każdym kroku o wygodę i przyjemność podróżnych...

W ciągu 24 dni zwiedziliśmy pachnącą Lizbonę i jej czarowne okolice, zdumiały nas dziwy marokańskie, zachwyciła prześliczna Sewilja, upoiło wino i przyroda w Maladze i Grenadzie, a w powrotnej drodze jeszcze zwiedziliśmy zamgloną Antwerpję i strojną Brukselę. I po powrocie mieliśmy możność stwierdzić, że nasza Gdynia, porównana z zagranicznemi portami, nic nie traci na swym imponującym rozmachu.

*

Niedostatkiem wycieczki afrykańskiej parowca „Polonia" było to, że turystów wysadzono na brzeg czarnego lądu na trzy zaledwie dni. W tak krótkim czasie nietylko nie poznaliśmy „Afryki", ale i punkty umieszczone w programie wycieczek musnęliśmy aż nazbyt impresjonistycznie. Te dwa jednak rzuty oka — na Casablankę i Marrakech — dostarczyły wrażeń niezapomnianych: bardziej mocnych, niż pięknych, więcej dzikich, niż ślicznych...



Jedna z typowych mieszkanek „Bus-biru" w Casablanca

Casablanca, „biały dom", arabskie Dar-el-Beida, stutysięczne nowoczesne miasto portowe o bardzo młodej tradycji. Port łudząco przypomina gdyński. Wspaniałe aleje wielkomiejskie, hotele, banki, hale, gmachy rządowe w stylu arabizującym. Jedną piątą mieszkańców tworzą Europejczycy. Jest i kolonja polska, serdecznie zainteresowana naszym przyjazdem. Przemili inżynierostwo Kołodziejczykowie (od 2 lat tu osiadli) pokazują nam dziwy i chronią od żebractwa i wyzysku, jak od moskitów. Jest nawet czytelnia polska. Dajemy na wiele godzin nura w dzielnice tubylcze. Mężnie czoło stawiamy natrętnym pucybutom, rozzuchwalonym żebrakom, hałaśliwie narzucającym się kupcom. Oczy mrużymy od żaru kwietniowego słońca i pstrokacizny jedwabnych, mosiężnych i skórzanych towarów, które wylewają się ze sklepików na środek uliczek. Zapach najpyszniejszych owoców kłóci się z fetorem baraniny, smażonej oliwy i brudu. Ta orgja kolorów, dźwięków i woni kipi na dnie ulic, zanurzona w rażącym blasku przesłonecznionej bieli, od której nie bronią nawet zielone okulary turystyczne!

Wieczór w „Quartier réservé". Nazywa się to po arabsku Bus-bir. Osobna dzielnica, autochtoniczne „marché-aux-femmes", największa regjonalna osobliwość. Jakieś państewko udzielne, eksterytorjalne, rządzące się własnemi prawami, lecz bynajmniej nie wyklęte. Tylko u wejścia do tej dzielnicy stoi posterunek żandarmerji z nasadzonym bagnetem. Mieszkankom tego „wesołego miasteczka" wolno wychodzić do miasta tylko w określonych porach tygodnia. Obok wejścia, dla dobra marynarzy i Legji Cudzoziemskiej: „Poste sanitaire militaire". Pozatem swoboda najszersza, jaką wyobrazić sobie można...

Wchodzisz do arabskiej dzielnicy specjalnej, średnio oświetlonej. Wąskie uliczki, małe domki. Ruch tylko pieszy. Ulegasz złudzeniu baletu, kolorowego filmu bardzo dźwiękowego, pantominy scenicznej. Jeden przy drugim minjatu-

rowe białe domki. Jedno- lub dwuizbowe. Podkowiaste wejścia maurytańskie; obok każdego na wysokości człowieka talizman: „ręka Fatmy" z metalu, albo poprostu farbą odbita z dłoni ludzkiej. Drzwi zawieszone tkaniną, często uchyloną. Widzisz w ich półmroku siedzącą białą postać staruszki, dywany, niskie tapczany, lampkę oliwną albo i karbidową, czasem mosiężną tacę na niskich nóżkach, z serwisem do herbaty miętowej.

W zaułkach palmy i drzewa, których w tem świetle rozeznać nie możesz. Zwieszają romantycznie gałązki, błyszcząc nienaturalną zielenią. Księżyc nad tem wszystkiem wygląda już zupełnie banalnie. Zdaje ci się, że za chwilę zapadnie jakaś kurtyna i wszystko się skończy. W rzeczywistości dopiero się zaczyna...

Z nastaniem nocy zaczyna bić hałaśliwe serce tego miasteczka. Na wchodzących od strony miasta Arabów, legjonistów, wielojęzycznych marynarzy i turystów obojga płci — rzuca się biały i kolorowy tłum mniej i więcej nadobnych mieszkanek Bus-biru. Biało ubranych, albo też (zbyt niestety często) ordynarnie przebranych w kuse szmatki europejskie. Oczy twoje mrużą się od nadmiernie szybko kręconego filmu. U ramion twoich wieszają się całe naręcza dziewczyn, od zupełnie białoskórych do najniewątpliwszych Murzynek. Osobny jest w tem „quartier" pod-dział żydowski, najgłośniejszy. Najdziwniejsze języki tworzą wieżę Babel, z której wybija się potwornie kaleczona francuzczyzna.

Venez! venez!

— Ah, mon chéri! Tu es joli...!

— Odczep się!

— Veux-tu? Viens...!

Musisz strzepnąć ze siebie czepiające się jak kleszcze smagłe ręce i dobitnie krzyknąć:

— Sir!!

Jest to najpotrzebniejsze w Maroku słowo arabskie. Znaczy to samo mniejwięcej, co „paszoł won!" Wtedy doczekasz się, że obcęgi natrętnych rąk puszczą cię nagle, jedna z nich ciężko spadnie w kształcie pięści na twoje plecy, poza któremi usłyszysz pogardliwe:

— Chameau!

Po kątach, a nawet poprostu na środku uliczek, potrącane przez gęstą falę przechodniów, trwają nieruchome pary, wczepione w siebie w zapamiętałym pocałunku. Wszędzie tworzą się grupy, dymiące wrzawą targów, jak na kiermaszu. Z niektórych domów dochodzą dźwięki muzyki. Słychać tupot twardych bosych nóg w tańcu monotonnym, pomieszanym z jękiem śpiewu i nużącym rytmem rąk bijących w mosiężne talerze. W zadymionej kawiarence tańczą sami chłopcy nieletni. Muzyka ginie w hałasie ulicznego tłumu.



Zdjęcie, za które omal nie zbito autora: orkiestra Berberów na jarmarku w Marrakeszu

Co pewien czas przystajesz, zahypnotyzowany niezwykłą urodą jakiejś dziewczyny. Niektóre wyglądają, jak filmowe księżniczki indyjskie. Każda prawie wytatuowana jest na czole między oczami, pod ustami i na piersiach — sine cienkie kreseczki, łączące się w misterny ornament.

Do wczesnego świtu trwa codzienny ten targ, jedyny handel w Casablance, w którym nie widać najmniejszego kryzysu...

*

W trzy godziny przeniósł nas błyskawiczny autokar 250 kilometrów wgłąb Afryki, do podnóża olbrzymiego pasma Atlasu, który w koronie wiecznych śniegów wyglądał, jak szklana bajka. Spędziliśmy dobę w oazie Marrakech, wielkiem mieście handlowem, już rdzennie tubylczem. Stąd wyruszają karawany na Saharę.



Dwaj wirtuozi na jarmarku w Marrakeszu

Wpadliśmy w zgiełk jarmarku, odbywającego się na wielkim placu. Zanurzyliśmy się w biały tłum czarnoskórych i oliwkowych barbarzyńców, oszołomieni wrzaskiem, piskiem i dudnieniem bębnów. Orkiestra Berberów o mało nie zlinczowała mnie za fotografowanie...

Tegoż wieczora pp. Kołodziejczykowie na usilne nasze prośby zaprowadzili nas do stuprocentowo arabskiej restauracji na regjonalną potrawę. Usadowiono nas w niewielkiej bielonej szopie, w której końcu kipiało coś i smażyło się na otwartym ogniu. Podłoga zasłana była dywanami, na których kazano nam usiąść z podwiniętemi nogami. Podano każdemu na wielkiej misce bezbarwną dymiącą masę. Nazywało się to „kus-kus". Żelaznemu zdrowiu zawdzięczamy fakt, żeśmy tej potrawy przełknęli po kilka łyżek. Najohydniej wonająca baranina w straszliwej kaszy i całych stosach szafranu, papryki i najostrzejszych korzeni pomieszanych z wielkiemi ziarnami bobu — wpadała nam do gardła żywym, cuchnącym płomieniem. Póki życia, nie zapomnę tego smakołyku! Po nim już miłem orzeźwieniem była szklanka ulepku, na który złożyła się ostra miętowa herbata z całą furą cukru... Arab był obrażony, że „kus-kus" pozostało niezjedzone.

To „kus-kus" przypomniało się nam nazajutrz, gdy zobaczyliśmy hygienę kuchni arabskiej w świetle dziennem. Siedział taki Marokańczyk na ziemi, na bogatym śmietniku wśród najgorszych odpadków, z tego śmietnika podejmował odarte ze skóry łby baranie, którym przedtem oczy wyłupił — i bez żadnego mycia przypiekał te łby na

rożnie, by je potem sprzedawać. Przez całą resztę podróży, gdy mnie pytano, cobym zjadł na obiad, mawiałem: wszystko, z wyjątkiem baraniny.

W tem wszystkiem było jednak wiele widoków romantycznie pięknych. Sprzedawcy owoców w słońcu (kwiatów nie było prawie wcale), albo ładowanie towarów na wielbłądy, albo uliczki całe nakryte rogożami, tak iż chłodno w nich było i ciemno, albo widok jeźdźców harcujących na prześlicznych arabskich koniach, albo damy jadące dorożkami, całe białe, ze szparką tylko pozostawioną dla oczu, albo piękne twarze arystokratów w jedwabnych burnusach, oddział Żuawów maszerujących w purpurowych szarawarach, z rozgłośną dętą muzyką — były to ruchome i bardzo kolorowe ilustracje do jakiegoś „Ben-Hura". Nic tu się nie zmieniło — pomyślmy — od tysięcy lat; te same stroje, słowa, brudy, obyczaje i przesądy, jak przed narodzeniem Chrystusa!...

Mieszkaliśmy w małym hotelu o białych murach i łóżkach zasłoniętych tiulowemi kotarami przeciw moskitom. Hotel ten miał urocze minjaturowe „patio" pośrodku, podwórko wyłożone kaflami, z galeryjkami dokoła. Na płaskim dachu przy pełni księżyca stałem długo w noc, słuchając zaczarowanego oddechu miasta na skraju Sahary — i piania kogutów. Po dłuższej chwili przemknął tuż koło mnie biały cień zgarbionej wiedźmy, która tu w jakimś kącie na dachu spała i nagle spłoszona została głośnem mojem westchnieniem...

Witold Hulewicz

W STOLICY HITLERJI

(Korespondencja własna „Świata" z Berlina).

Życie nocne stolicy Niemiec, tak do niedawna burzliwe i urozmaicone, zupełnie zamarło od chwili, kiedy Berlin stał się stolicą Trzeciej Rzeszy. Hitlerja jest cnotliwa i arcymoralna: niema w niej miejsca na wesołe i dowcipne kabarety, na złośliwą piosenkę w nocnym lokalu, na kawiarenki w zachodniej dzielnicy, które, mimo sztucznej perwersji, miały jednak pewien urok swobody i nieszkodliwej swawoli, tak rzadkich w Niemczech.

Pozostał taki „Vaterland", fabryka rozrywki, wytwórnia masowej zabawy, ciężkiej, nudnej, mieszczańskiej w najgorszem tego słowa znaczeniu. Pozostały piwiarnie i nudne „Kellery". Przybyły liczne świetlice szturmówek hitlerowskich, ale tylko dla wybranych.

Na wszystko jednak znajdzie się w Niemczech „ersatz". Znalazł się i na życie nocne, a właściwie wieczorne, bo już o zmroku ulice pustoszeją i miasto zamiera. „Ersatza" dostarcza wszechmogący dziś rząd, który wziął obywatela w żelazne kleszcze swej opieki i „wychowania narodowego".

Tym „ersatzem" są niekończące się pochody z żagwiami, słynne „Fakelzugi", parady szturmówek i, od czasu do czasu, imprezy widowiskowe na większą skalę, jak pierwszomajowa.

Jeszcze szumiał „Rausch" owego wieczora, kiedy zgotowano Berlińczykom nowe, nie widziane od setek lat, widowisko — palenie na stosie. Palono wprawdzie tylko książki, ale obywatel Hitlerji nie zdziwiłby się i nie oburzył, gdyby poddano „auto-da-fe" marksowskich kacerzy i heretyków żydowskich.

Stałem w tłumie wiernych na placu Opery. Potężne reflektory oświetlały każdy zakątek wielkiego placu. Pośrodku, na nasypie z piasku, wznosił się kilkumetrowy stos — rusztowanie z belek. Z placu Hegla nadciągnął „Fakelzug" z pochodniami. Z pod domu akademickiego przyłączyły się do pochodu samochody ciężarowe ze skazanemi książkami. Kiedy czoło pochodu ukazało się na placu, zapalono stos i wśród okrzyków i wycia rozszalałego tłumu zaczęto wrzucać książki do ognia.

Chwilami miało się wrażenie, że to scenarjusz filmowy, teatr, że to wszystko jest odbiciem rzeczywistości już dawno zapomnianej.

Nie! Oglądając się wokół, widziałem twarze uczestników całopalenia, nie biernych widzów. Ta barbarzyńska zabawa nocna to autentyczna rzeczywistość Niemiec dzisiejszych, to rzecz zupełnie serjo. To nie był symbol — palono bowiem tysiące i miljony książek po wszystkich miastach i miasteczkach, palono, aby zupełnie zniszczyć, wytępić literaturę „obcą". Książek Manna, Remarque'a, Marksa naprawdę już nie będzie można dostać: spalono je w noc z 10 na 11 maja roku pańskiego 1933, a panowania Hitlera czwartego miesiąca.

Nie wolno przyjmować innej strawy, jak ta, która wychodzi z kuchni rządowej. Słynna bolszewicka „czystka" stosowana jest z niesłychaną energją i niesamowitą metodycznością. Spalono książki, wypędzono z teatru nieprawomyślnych reżyserów i dyrektorów, zmuszono nawet sędziwego Maxa Liebermana do rezygnacji z akademji sztuk pięknych.

Język, którym przemawiają reformatorzy kultury i sztuki niemieckiej, brzmi zupełnie, jak żargon bolszewicki. „Teatr indywidualny musi być zastąpiony teatrem kolektywnym — sztuka musi być bohaterska, w przeciwieństwie do sztuki mieszczańskiej"—twierdzi minister propagandy Goebbels. Były reinhardowski „Deutsches Theater" wystawia krzykliwy kicz Johsta „Schlageter" z odwetowym generałem, jako postacią główną. Ten sam Johst stoi na czele „zreorganizowanego" niemieckiego PEN-clubu, pozbawionego Mannów i Zweigów, ale ozdobionego dziesiątkiem nazwisk pisarzy hitlerowskich, których dotąd nie wymieniał nawet skrupulatny „Literatur-Kalender".

Ani do teatru pójść nie można, ani gazety wziąść do ręki, ani książki kupić, aby nie natknąć się na dokuczliwą, natarczywą propagandę. Zupełnie, jak w



Wejście do obozu koncentracyjnego dla więźniów politycznych w Oranienburgu pod Berlinem

Uroczystość dzisiejszych Niemiec. Palenie książek, potępionych przez hitlerowców

Moskwie bolszewickiej. Na przeciwnym biegunie, na skrajnej prawicy, ale temperatura i atmosfera ta sama, co w czerwonej stolicy państwa bolszewickiego. Ponura jednostajność, nudna, męcząca.

Przerywają ją widowiska rządowe i wiadomości o „samobójstwach" i „tragicznych" wypadkach". Wiemy już, co to znaczy. Na uroczystości pierwszomajowe pod przymusem i pod groźbą represji spędzono miljon ludzi, a hrabia Oberfahren, przywódca nacjonalistów, wolał rozstać się z życiem, aniżeli poniżać się przed Hitlerem. Tu fakt samobójstwa nie ulega wątpliwości, ale jest to wyjątek. Pocichu, z ust do ust, w śmiertelnym strachu podają sobie obywatele prawdziwy powód zgonu tego czy innego „samobójcy". Bo Cze-ka hitlerowska nie próżnuje, a jaczejki są wszędzie. Wojujący hitleryzm jest, jak wojujący komunizm; naśladuje go niewolniczo.

A może urozmaiceniem mają być olbrzymie, niewidziane dotychczas czerwone plakaty, rozlepione na ulicach Berlina, obwieszczające ludności, że tego a tego dnia wykonane będą wyroki śmierci i że głowy dwuch zbrodniarzy, skazanych jeszcze w 1931 r., padną pod uderzeniem topora katowskiego? Może walka z „murzyńskim" foxtrotem i jazzbandem, która rozbija się o tę maleńką przeszkodę, że miejsce, przeznaczone w lokalach publicznych na taniec, jest zbyt szczupłe na walc i inne „moralniejsze" i bardziej niemieckie tańce? Może nowe mundury i nowe parady wojskowe, jak za dobrych czasów wilhelmowskich, których renesans mamy dziś we wszystkich ilustrowanych pismach, reprodukujących dawne zdjęcia z cesarzem i pikelhaubą? A może wojenka?

Berlin w maju. *Przejezdny.*



Stos na placu miejskim; obok szubienica, na której powieszono portret Lenina



ZDOBYWCY ATLANTYKU

Jest ich zaledwie kilku. Dzięki kap. Skarzyńskiemu na tej honorowej liście nie zbrakło nazwiska polskiego.

Przelot nad oceanem Atlantyckim był oddawna marzeniem lotników wszystkich narodów. Na jesieni 1926 roku zaczynają się oni sposobić do tego nadludzkie siły przechodzącego czynu. Rozpoczynają ambitny atak Nungesser i Coli i giną w nurtach. Wślad za tem idzie szereg dalszych nieudanych prób, kończących się mniej lub więcej tragicznie.

Wreszcie nastaje historyczny dzień 19 maja 1927 roku. Wieczorem tego dnia z jednego z kin nowojorskich wychodzi młody, mało komu znany pilot komunikacyjny Charles Lindberg. Spogląda na wygwieżdżone niebo i, uśmiechając się do swych myśli, jedzie na lotnisko, gdzie już od dłuższego czasu w tajemnicy szykuje do „wielkiego skoku" swój samolot. Po krótkiej chwili mieszkańcy wybrzeża zostają zbudzeni warkotem motoru. To Lindberg na swym „Spirit of St. Louis" staje do samotnej walki z oceanem, aby po 36 godzinach wylądować na lotnisku paryskiem. Oszalały z entuzjazmu stutysięczny tłum szarżuje na przybysza z drugiego kontynentu. Wyczerpany lotem na przestrzeni 5,336 kilometrów Lindberg wymyka się boczną furtką, pozostawiając na pastwę publiczności samolot, który zostaje nawpół zdemolowany przez amatorów „souvenir'ów". Atlantyk jest pokonany.

W kilka tygodni później startują również z N. Jorku na płatowcu „Miss Columbia" Chamberlin i Lewin, dolatując po 6,249 kilometrach do Eisleben w Saksonji. Następuje serja dalszych przelotów. Między innymi węgrzy Enders i Magyar na samolocie „Sprawiedliwość dla Węgier" docierają z Nowej Ziemi do okolic Budapesztu (5,200 kilometrów). Wreszcie rekord na trasie Stany Zjednoczone — Europa ustalają Boardman i Polando lotem z Nowego Jorku do Stambułu (8,065 kilometrów).

Wszystkie te loty były dokonywane z zachodu na wschód. Przed zamachami od strony Europy Ocean bronił się jeszcze dłuższy czas, pochłaniając dalsze ofiary, wśród których znalazł się Polak—kpt. Idzikowski. Dopiero we wrześniu 1930 roku i w tym kierunku człowiek zwycięża. Costes i Bellonte na tym samym „Znaku Zapytania", którym przed rokiem dotarli do Tsitsikaru, przelatują z Paryża do Nowego Jorku.

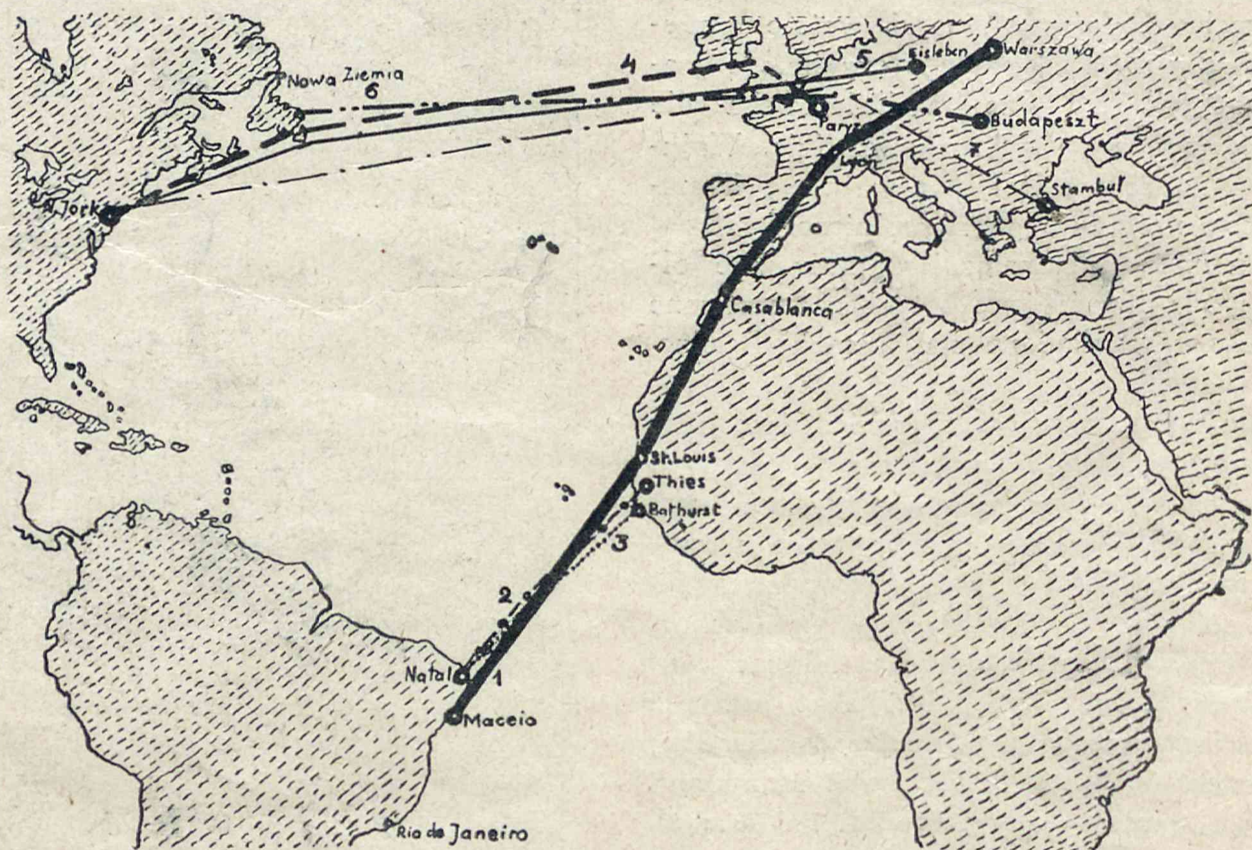
Równolegle do przelotów nad północnym Atlantykiem zostaje zaatakowany Atlantyk południowy. Odległość tu jest mniejsza, to też wielkie, specjalnie do długodystansowych lotów budowane płatowce łatwiej sobie z nią dają radę. A więc po szeregu przelotów mniej znacznych odbywa się grupowy raid 24 wodnopłatowców włoskich pod dowództwem gen. Balbo i rekordowy dla południowego Atlantyku lot również włochów: Ferrarina i Del Prete z Rzymu do Turos w Brazylji (7,188 kilometrów).

Wszystkie powyższe loty wykonane zostały na specjalnie do tych celów budowanych potężnych samolotach. Sprzęt to ciężki i kosztowny. Lecz już od kilku lat rozwija się nowa odmiana płatowców. Są to samoloty turystyczne, lekkie, tanie, o znacznie słabszych i oszczędniejszych silnikach. Jeśli tamte kolosy mogą być przyrównane do wieloosobowych autobusów, to tu mamy do czynienia z napowietrznemi motocyklami. Z początku były to niemal zabawki, lecz wkrótce stają się aparatami użytkowemi. Na takim samolocie anglik Hinkler przelatuje w szeregu etapów z Londynu do Australji. Wślad za nim jedzie „dziewczyna, która i nam ku utrapieniu spadła z nieba" — Amy Johnson. Lady Bailey również etapami dociera do Kapsztadtu. Dalsze ulepszenia techniczne umożliwiają tym samolotom wydłużanie poszczególnych etapów; wreszcie możliwe stają się na nich przeloty oceaniczne.

W 1931 r. Hinkler przeskakuje południowy Atlantyk z Natalu w Brazylji do Bathurst na wybrzeżu afrykańskiem, przebywając w jednym etapie 3060 kilometrów. W następnym roku Mollisson, lecąc w odwrotnym kierunku, pokrywa 3,120 kilometrów. Samoloty ich jednak przekraczają wagę przepisaną przez międzynarodowe regulaminy dla płatowców turystycznych. To też pierwszym oficjalnym rekordem dla tych płatowców jest przelot kpt. Stan. Skarzyńskiego, lepszy od jego poprzedników, bo łączący Saint-Louis-de-Sénégal z Maceio w Brazylji na przestrzeni ok. 3,400 km. Rekord ten jest tem bardziej godzien uwagi, że został dokonany wzorem Lindberga samotnie — bez współtowarzysza podróży.

Przy tej okazji warto wspomnieć o innych polskich lotach długodystansowych. W r. 1925 płk. Rayski wykonał etapami raid Paryż — Madryt — Casablanca — Tunis — Ateny — Konstantynopol — Warszawa. Jesienią roku następnego leci z Warszawy do Tokio i z powrotem kpt. Orliński. W drodze powrotnej jest on zmuszony do lądowania na Syberji. Nagły wicher porywa jego dwupłatowiec i gruchocze niemal trzecią część prawego skrzydła. Orliński obcina dla równowagi odpowiednią porcję lewego skrzydła i na tak „przebudowanym" płatowcu kończy swój lot. W lipcu 1928 r. por. Kalina przebywa jednym ciągiem przestrzeń, dzielącą Warszawę od Bagdadu. W roku następnym mjr. Makowski leci bez międzylądowań z Poznania do Barcelony. Wiosną 1931 r. kpt. Skarzyński w szeregu etapów oblatuje Afrykę, przebywając ogółem 25,770 kilometrów. Wreszcie jesienią roku ubiegłego kpt. Karpiński odbywa z Warszawy raid przez Turcję, Persję, Afganistan i Egipt na przestrzeni 14,000 kilometrów. Rok bieżący zapowiada nam kilka nowych długodystansowych ekskursji.

Mak.



TRASY PRZELOTÓW NAD ATLANTYKIEM: 1) kpt. Skarżyński, 2) Mollisson, 3) Hinkler, 4) Lindberg, 5) Chamberlin i Lewin, 6) Enders i Magyar, 7) Boardman i Polando

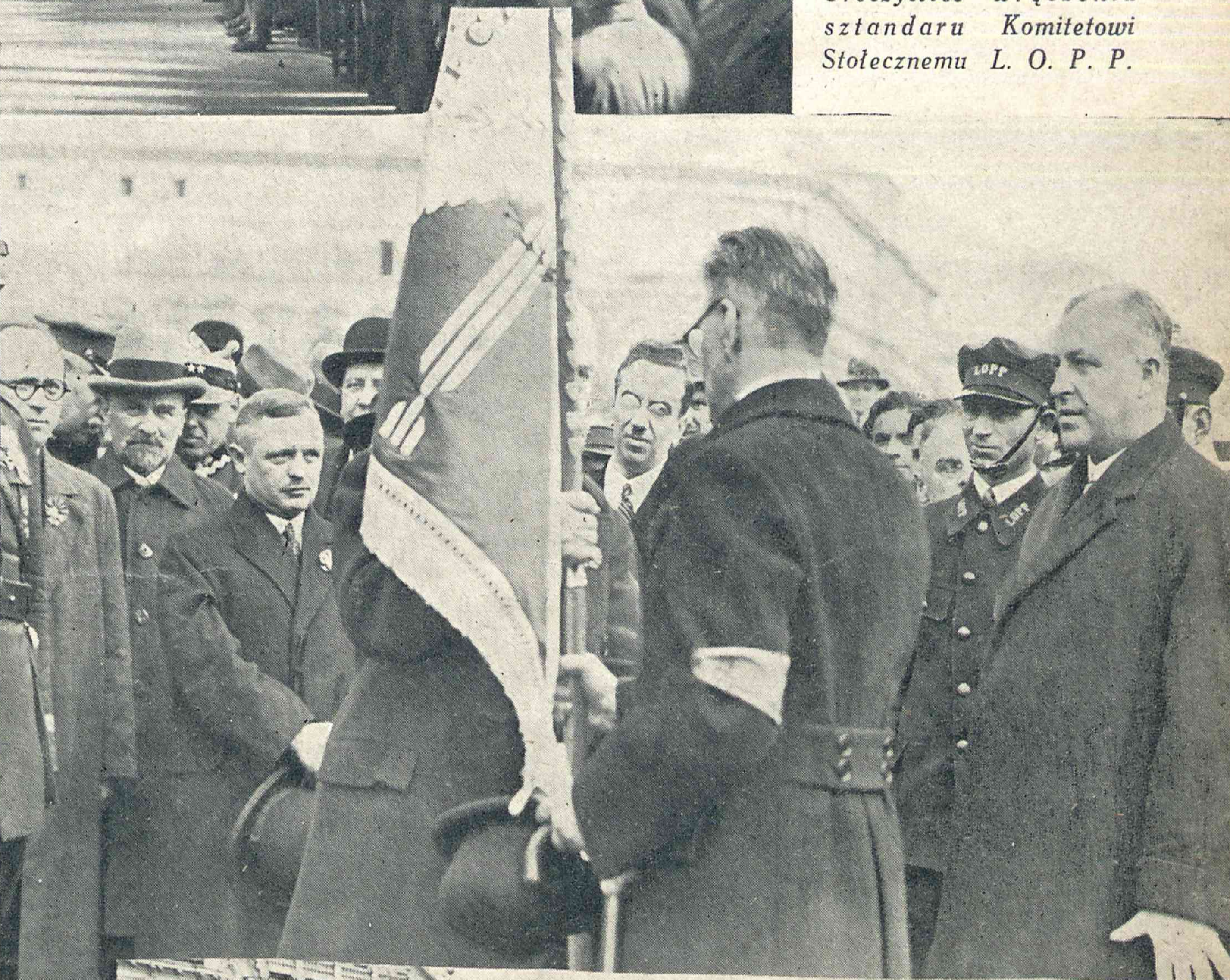
Miljon uświadomionych



Obchód dziesięciolecia L. O. P. P. rozpoczęto nabożeństwem w Archikatedrze

Uroczystość wręczenia sztandaru Komitetowi Stołecznemu L. O. P. P.





W.-prezes Zarządu Gł. L. O. P. P. prof. Huber przemawia



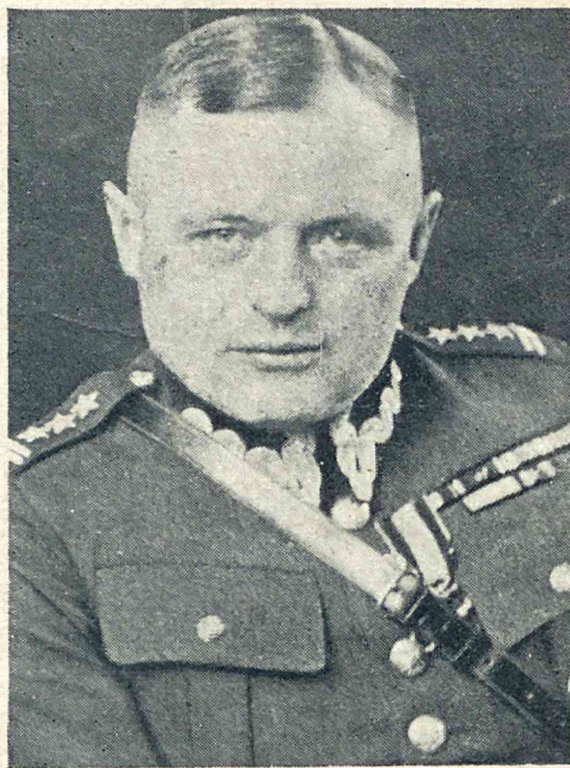
Koło L. O. P. P. II Gimnazjum Miejskiego

Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej obchodziła w ubiegłym tygodniu dziesięciolecie swego istnienia. Uroczyste akademje, pochody alegoryczne, defilady, capstrzyki, przemówienia okolicznościowe i składanie wieńców u stóp pomników bohaterów powietrza, — wszystko to stanowiło zewnętrzną stronę święta.

Większe wszakże znaczenie miało sa-



Wice-minister Wł. Korsak, prezes Rady Głównej L. O. P. P.



Płk. inż. Kazimierz Moniuszko, prezes Zarządu Głównego L. O. P. P.



Docent Uniwer. dr. Gustaw Załęcki, sekretarz Zarządu Głów. L. O. P. P.

mopoczucie narodu polskiego, stwierdzające ponad wszelką wątpliwość, że Polska zdaje sobie sprawę z tego, co się dokoła niej dzieje i baczy pilnie, aby była przygotowana na każdą, najgorszą nawet niespodziankę.

Dziesięciolecie LOPP to rocznica rozpoczęcia żmudnej pracy łączenia w jedną gromadę tych, którzy rozumieją, iż w czasach dzisiejszych, kiedy nauka hojną ręką rozsypuje po świecie coraz to nowe wynalazki, nie wolno zamykać oczu na grożące narodowi i państwu niebezpieczeństwo.

Kto przeszedł ostatnią zawieruchę światową wraz z jej okropnościami, ten wie, czego można się w czasie nowej wojny spodziewać.

Olbrzymie kolubryny niemieckie, przenoszące pociski przez kanał La Manche, nocne ataki powietrzne na stolicę Anglji, bomby gazowe, siejące straszliwą, masową śmierć w szeregach nieprzyjacielskich — wszystko to było jakby próbą, jakby przygrywką do tego, co może rozstrzygać o losie państw i narodów w przyszłości.

Dziś każde już prawie dziecko w wieku szkolnym wie, że wrazie wybuchu wojny może ponad jego głową ukazać się nagle wraży samolot, rzucający bomby z trucicielskim gazem, przed którym ciężko się ukryć, o ile się naprzód nie upatrzyło odpowiedniego schronu.

Rozumie też dzisiaj każdy, że bez silnej floty powietrznej, bez lotnisk, bez lądowisk, bez odpowiednich szkół i instytutów naukowych nie można zapewnić krajowi bezpieczeństwa.

Dziesięć lat minęło właśnie, jak kładziono fundament pod dzisiejszą Ligę Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, a obecnie każdy powiat Rzeczypospolitej ma już własną historję pracy na tym odcinku.

W dziesięciu latach udało się zszeregować w Lidze *miljon* ludzi, gromadzących się w przeszło siedmiu tysiącach kół lokalnych, które dziś stają się ośrodkami obywatelskiej obrony kraju, szerząc dokoła siebie zrozumienie twardych obowiązków, jakie na każdego mieszkańca Rzeczypospolitej nakłada dzisiejsza ciężka atmosfera międzynarodowa.

Poruszyła Liga ofiarność polską, nauczyła składać stale i chętnie choćby niewielkie kwoty na cele obrony państwa. I w ten sposób zebrała dziesiątki miljonów złotych.

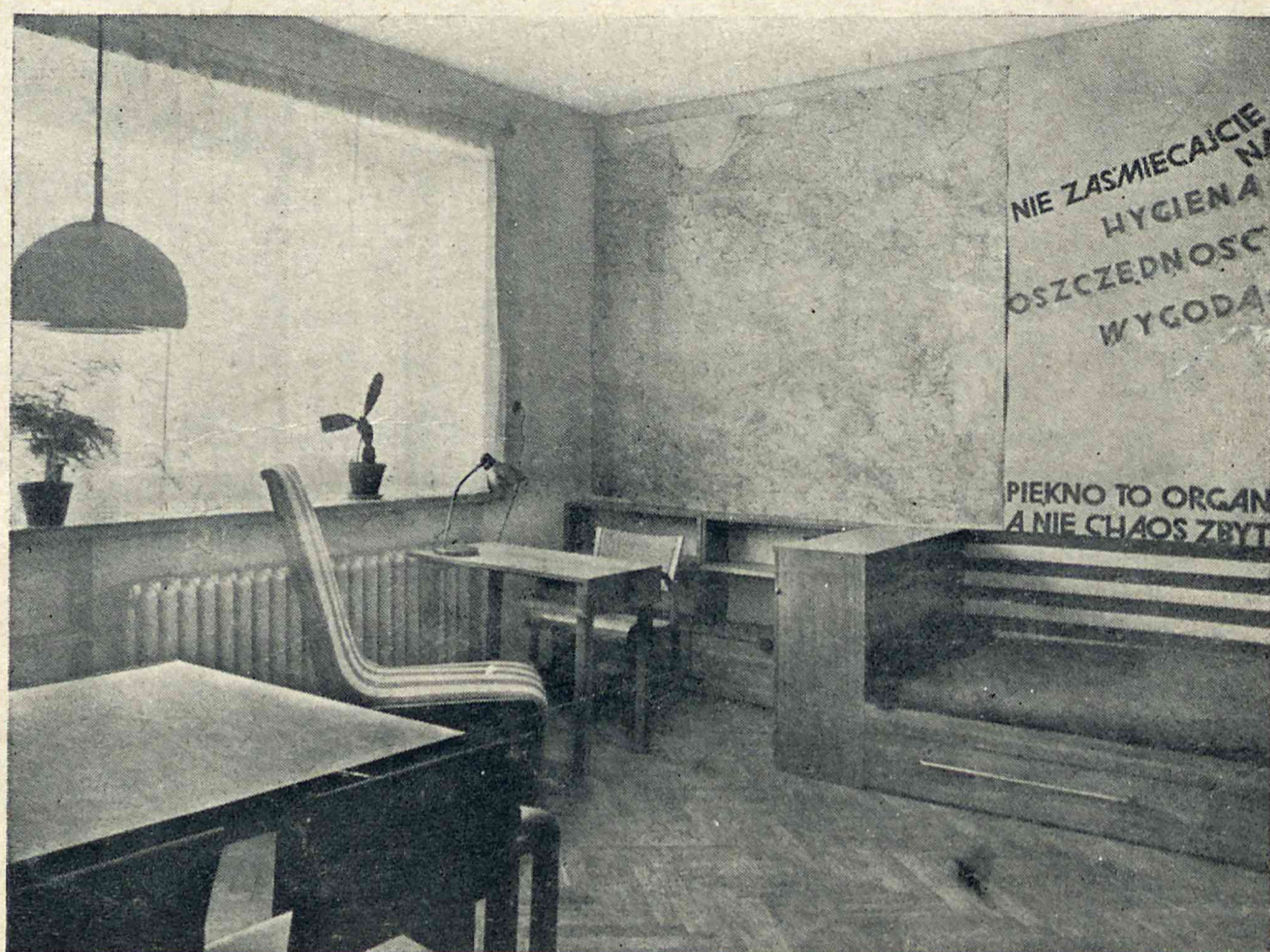
Nie samo wszakże zbieranie pieniędzy na określone cele było ambicją Ligi. Zwolna stawała się ona jakby wielkim obozem przeszkoleniowym dla całego społeczeństwa, docierając wszędzie z żywem słowem, z artykułem drukowanym i pokazem, dobrze zorganizowanym. Zwalczała zwycięsko każdą trudność bez względu na kryzys i bezrobocie.

Sprawozdanie Ligi, złożone społeczeństwu w dniu uroczystości — to historja dziesiątka lat, wypełnionych rzetelnym wysiłkiem.

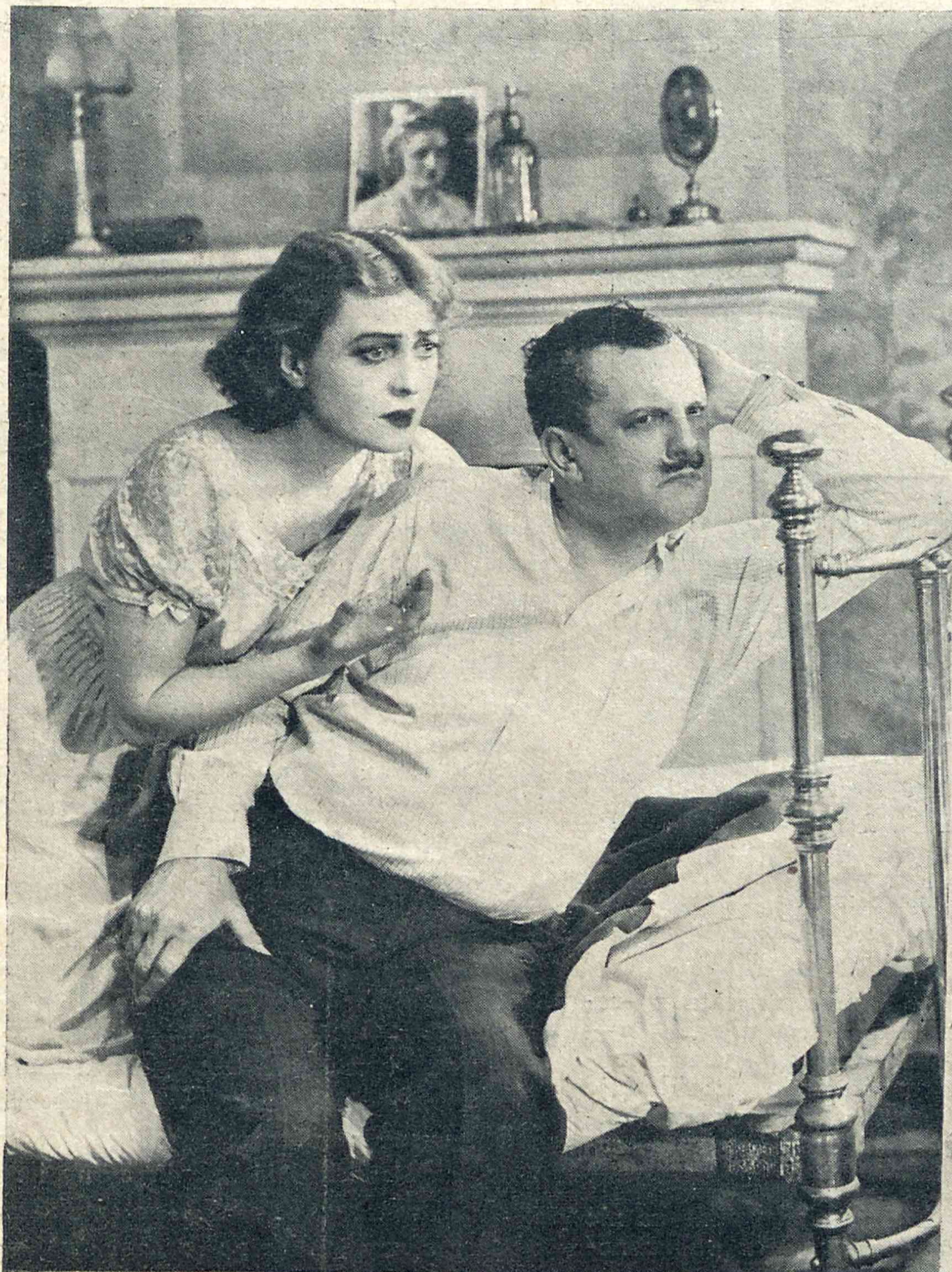
Pierwszy miljon uświadomionych obywateli stoi już w szeregu pod sztandarem państwowym i przykładem swoim, ciągłą, mrówczą pracą i ofiarnością pragnie porwać za sobą do działań obronnych dalsze krocie i miljony.

Dr Czesław Łukaszkiewicz

Pokaz wzorowego umeblowania małego mieszkania



W Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, na Żoliborzu, która mimo kryzysu rozwija nadal ożywioną działalność w dziedzinie nowoczesnego budownictwa, zorganizowano pokaz wzorowego umeblowania małego mieszkania. Składa się ono z przedpokoju, kuchni, pokoju mieszkalnego, z wnęką sypialną i ubikacją; jest to więc t. zw. „mieszkanie półtoraizbowe". Urządzono je całkowicie taniemi, nowoczesnemi meblami wg. projektu Spółdzielni Pracy Architektów i Inżynierów „Praesens"



Czarujący „Kabotyn" (J. Leszczyński) z żoną (Marja Malicka)



Jerzy Leszczyński z kochanką (Janina Macherska)

Fot. J. Malarski

Świat teatru

„Mistigri" czyli: „Trzeba mieć szczęście" w Teatrze Letnim w reżyserji Józefa Śliwickiego

Autor ostatniej premjery drugiej sceny miejskiej jest, podobnie jak autor „Wiru" w Narodowym — dzieckiem teatru. Nie aktorem, jak Noel Coward, lecz rittnerowskim „człowiekiem z budki suflera". Coś tak, jak jego polski kolega Zygmunt Kawecki — Marceli Achard zaczął od... suflerowania. Podpowiadał aktorom, kręcił się za kulisami, przeżywał cudze komedje i dramaty, aż zaczął sam pisać. Wierny uczeń paryskiej Reduty (słynnego Copeau) przejął Achard od mistrza styl i formę dla swojego teatru pisanego: mieszaninę groteski — stylizowanej, nieomal błazeńskiej — z „głębszem znaczeniem" liryzmu i prawdy psychologicznej. I zawsze miał malownicze à la nasz Szaniawski tytuły: „Jaś z księżyca"... „Domino"... „Dama w bieli"...

„Mistigri" — mimo tytuł dla nas już wręcz egzotyczny — jest utworem mniej skomplikowanym od tamtych. Gdyby poszukać pokrewieństwa z naszą twórczością dramatyczną, nie znalazłoby się tu Rittnera ani Szaniawskiego, lecz raczej Perzyńskiego, Kaweckiego, a nawet — Zapolską. A gdyby tak jeszcze enigmatycznie brzmiący tytuł dosłownie na nasz język przełożyć, pokrewieństwo — ku przerażeniu naszych klerków literackich — skoczyłoby po przez Nowaczyńskiego wdół do... Uniłowskiego. Poprzestańmy więc na polskiej trawestacji Teatru Letniego, na którą pierwszy zgodziłby się napewno Achard i z entuzjazmem powtórzyłby za afiszem: *„Trzeba mieć szczęście!"* — gdyby mógł zobaczyć naszą Malicką i naszego Leszczyńskiego...

Ona jest uroczą, pełną melancholji, trochę „Nell z księżyca", trochę „domino" psychologiczne, trochę „dama w bieli"; Leszczyński jest cały z jednej żywiołowo-wesołej bryły komicznej: czarująco jurny, przerozkosznie — szekspirowsko niemal — głupi! Ona wzrusza i intryguje, on śmieszy do łez — razem stapia się to w ich grze w jedną przyrodzoną teatrowi, prostolinijną, przekonywującą całość wrażenia. Do tercetu wpada im z werwą prawdziwie paryską w akcie II-im i III-cim Janina Macherska. Z taktem prowadzą przez całą komedję swoje partje charakterystyczne: Józef Orwid i H. Peszyńska. Przystojnie wywiązuje się z mniej wdzięcznego zadania młody artysta p. Ryszard Kierczyński.

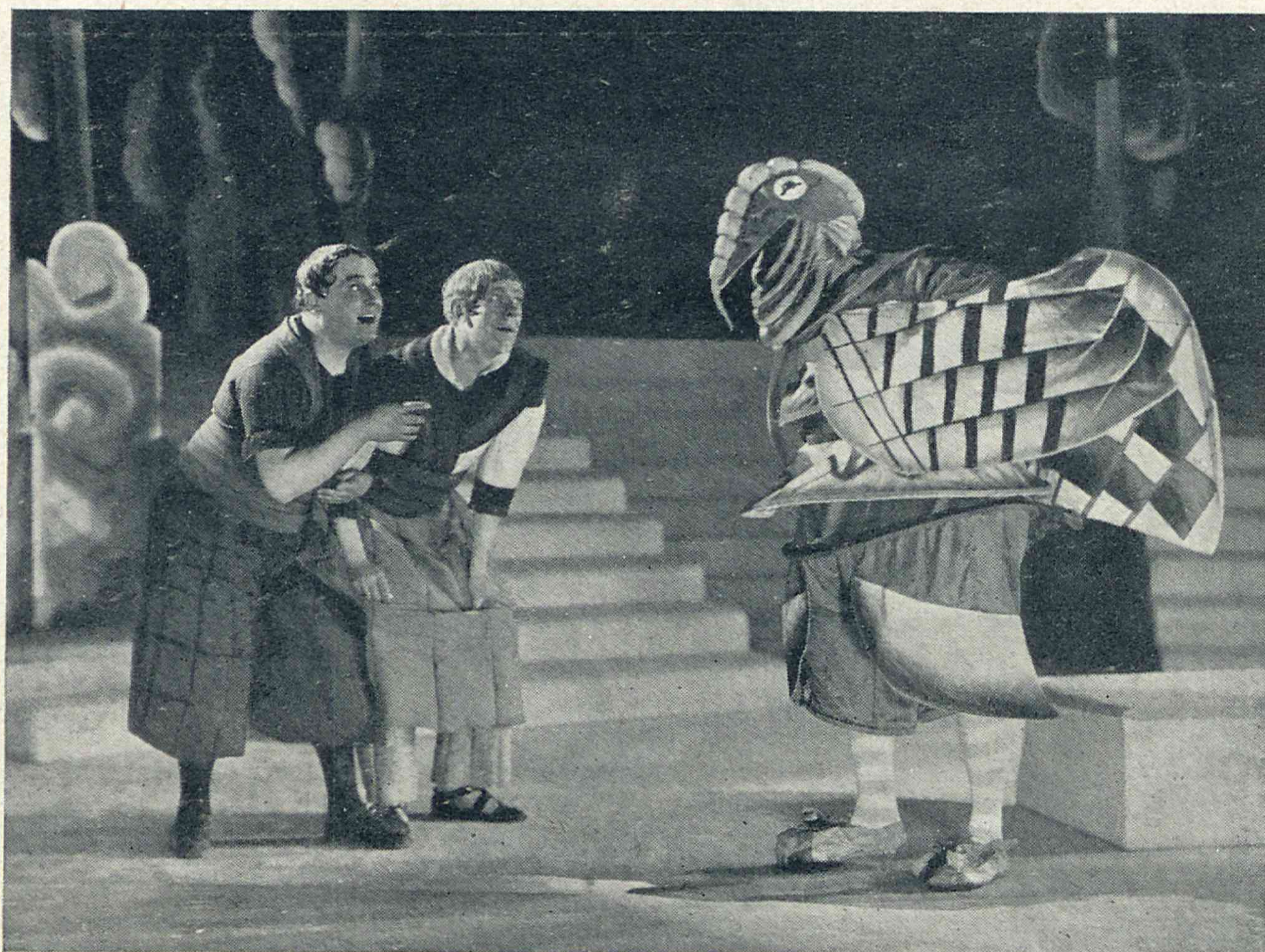
W sumie — wieczór przyjemnej, inteligentnie krotochwilnej zabawy teatralnej. „Mistigri" czyli: „Trzeba się śmiać!"

„Ptaki" w Teatrze Polskim

Dla uspokojenia tych, co mogą się obawiać, że to dla nich będzie „po grecku" — trzeba zgóry powiedzieć, że te *„Ptaki"* przyfrunęły na ulicę Słowackiego nie ze starożytnych słonecznych Aten z przed laty zgórą 2000, lecz wprost z neo-nowego Paryża *(article de Paris*, proszę pani!), gdzie wyhodowano je sposobem pokojowym *(Zimmer*-owskim) niespełna przed laty 5-ciu, a więc już w epoce Michelina, Antoine'a (Cierplikowskiego) i radja; przyczem, by widowisko było już zupełnie współczesne, antenę paryską gruntownie utuwimiono i nastawiono na najkrótszą falę ostatniej aktualności.

Te zabiegi radjoczynne bynajmniej nie zniszczyły kryształków prawdziwej poezji attyckiej, która w części pierwszej wido-

Teatr Polski: „Ptaki" wg. Arystofanesa



Wykonawcy ról głównych: Pp. Fabisiak i Karczewski

Fot. St. Brzozowski

wiska brzmiała chwilami, jak autentyczny śpiew ptasząt z poetyckich ogrodów Juljanowych... W części drugiej — gdy zbiera się gromada ludzka — zaczęło coś trzaskać raz po raz nieprzyjemnie w głośniku. Kilka gorgonów dzisiejszości możnaby wyciąć z powodzeniem i odbiór oczyścić.

Całość jest i mimo to niepowszednia — i pod względem literackim, reżyserskim, dekoracyjnym, muzycznym stoi na wyżynie najlepszych czasów Teatru Polskiego przez duże T i P, jak i przez małe. Zasługę tego zapisać należy na dobro nazwisk: Bernarda Zimmera, Juljana Tuwina, Aleksandra Węgierki, Jana Daszewskiego, Michała Kondrackiego i aktora Kazimierza Fabisiaka (mussoliniowska pamięć!). No, i żeby nie zapomnieć — jak powiedział pewien dowcipniś na premjerze paryskiej — o niejakim Arystofanesie z Hellady...

„Zabawka" mec. Hofmokla-Ostrowskiego w Teatrze Kameralnym

Z tą *„Zabawką"* to historja zgoła — kryminalna. Zeznaje to sam autor w wywiadzie do pism. Skazali go na areszt za obrazę sądu, więc zemścił się i napisał sztukę na — adwokatów. Rezultat wypadł nieoczekiwany: wychodzimy z rozprawy teatralnej, życząc 25 lat ciężkiego więzienia bohaterce, którą autor-mecenas gorąco wziął w obronę.

A sprawa mogła być na czysto wygrana. Plaidoyer aktu I-go zbudował autor mocno, interesująco, z nerwem wybitnie teatralnym i ciekawemi efektami. W akcie II-im zdobył duży sukces śmiechu za dowcip i za okazję do rozkosznego popisu, daną Różyckiemu — *charmeur*'owi. Niestety, w finale broń adwokata zgórowała i ładunek rykoszetem ugodził w — zabawkę. Nie „zabawka popsuła chłopczyka", jak wampirycznie konkluduje piękna Irena Grywińska, lecz odwrotnie: chłopczyk-mecenas popsuł *zabawkę*.

Nie znaczy to bynajmniej, by sztuka nie mogła mieć powodzenia: ława publiczności przyjmuje ją bardzo życzliwie. (Na marginesie starannej, jak zawsze, realizacji Teatru Kameralnego zanotujmy narodziny nowego talentu dekoratorskiego: Adwentowicza *juniora*, syna Karolowego).

Z zainteresowaniem przyjmiemy do wiadomości, że mec. Hofmokl-Ostrowski wnosi apelację do nowej sztuki.

„WIR" I JEGO AUTOR

Bawiąc parę lat temu w Londynie, słyszałam od wszystkich prawie znajomych:

— „Musi pani zobaczyć „Wir".

Sztuka szła już kilka miesięcy, a pomimo tego z trudem zdobyłam miejsce. Przedstawienie było nadzwyczajne. Sam autor, Noel Coward, w roli Nicky Lancaster'a, dalej artystki tej miary, co Lilian Braithwaite, Edna Best i Tallulah Bankhead. Pisząc tę sztukę, Noel Coward miał już poważny dorobek aktorski i autorski poza sobą, choć liczył dopiero lat 25. „Wir" ugruntował jego sławę i zdobył mu wielkie powodzenie materjalne.

Droga po te wawrzyny nie była gładka. Napisawszy „Wir" w przeciągu 5 dni, Coward stawiał warunek, że sam chce grać rolę główną, a to odstraszało wszystkich, bez wyjątku, skłonnych do wystawienia sztuki dyrektorów. Wreszcie Michael Arlen, autor modnej wówczas książki „The Green Hat", zgodził się finansować przedsięwzięcie, ale fundusze były szczupłe, dekoracje fabrykowano w suterenach małego teatrzyku „Everyman's Theatre", i chociaż dla wypełnienia wieczoru dołączono jeszcze sztukę Wilde'a „Florentyńska tragedja", do premjery nie doszło. Aktorka, grająca główną rolę, nie była zadowolona z autora ani jako z partnera, ani jako z twórcy trzeciego aktu. To otworzyło Cowardowi oczy na braki sztuki i przez jeden wieczór zmienił ją, pisząc zupełnie nowy akt trzeci, dziś kulminacyjny i najbardziej wstrząsający. Wilde'a sztukę usunięto z afisza i „Vortex" zaczął swój tryumfalny pochód w listopadzie 1924 r. naprzód w „Everymans Theatre", potem w „Comedy", „Royalty" i w „Little Theatre". To powodzenie zrobiło Cowarda sławnym. Zaczęto się interesować szczegółami jego biografji, która była niezwykła.

Urodzony w r. 1899, Coward wzrósł wśród instrumentów muzycznych, któremi handlował jego ojciec, i w atmosferze teatru, stanowiącego pasję jego rodziców. Mając lat dziesięć, rozpoczął już karjerę aktorską, którą z małemi tylko przerwami uprawia po dzień dzisiejszy. Pierwszą swą sztukę napisał mając lat siedemnaście. W dwudziestym roku życia zdobył już powodzenie komedją „I' 11 leave it to you". Komedje, skecze, w których sam grywa, operetki, rewje — zyskują mu coraz większy rozgłos. Po „Wirze" co roku prawie pisze jedną lub dwie rzeczy dla sceny.

Są między niemi doskonałe i nieco słabsze. Do najbardziej znanych należą: „Pułapka", „Gorączka letnia", „Pogawędka domowa", „Upadłe anioły", „Łatwa cnota", „Sirocco", „Markiza".

Przy tak masowej produkcji — Coward pisze także rewje i rewjetki. — To też nie można się dziwić, że autor daje utwory rozmaitej wartości. Powodzenie zawdzięcza nietylko talentowi, ale też wielkiemu zżyciu się z deskami teatralnemi i wyczuciu scenicznemu.

St. Gor.

W kilku wierszach

„Etienne" Jakuba Deval'a

Kierownictwo b. teatrów miejskich nabyło do wystawienia na jednej ze swoich scen 3-aktową komedję współczesną Jakuba Deval'a (autora rekordowej „Mademoiselle", granej w Teatrze Nowym zgórą 100 razy) p. t. *„Stefek" (Etienne)*. Świetna ta sztuka, dotąd w Polsce niegrana, była przed dwu laty jednem z największych powodzeń sezonu paryskiego. Ujrzymy ją niezadługo.

Maks Reinhardt w Anglji

„Urlopowany" z Berlina na rozkaz wyższej władzy, przebywa Reinhardt w tej chwili we Florencji, gdzie *all' aria aperta* reżyseruje „Sen nocy letniej", bezpośrednio zaś stamtąd jedzie do Oxfordu, aby na zaproszenie uniwersytetu wystawić baśń szekspirowską siłami amatorskiemi w rolach męskich (studenci uniwersytetu) oraz w rolach żeńskich siłami zawodowemi z teatrów londyńskich.

Następnie udaje się znakomity reżyser do rodzinnego miasta Szekspira Stratfordu, gdzie kierować ma programem tegorocznego festiwalu szekspirowskiego, na który złożą się dwa dramaty: „Koriolan" i „Makbet".

Nowe Brechty. „Nomen omen" — znany poeta i dramaturg niemiecki, autor granego i u nas (zresztą ze sromotnem niepowodzeniem) opracowania starej angielskiej „Opery za trzy grosze" Bert Brecht napisał dwa nowe utwory sceniczne pod zachęcającemi tytułami: „Święta Joanna rzeźni" oraz drugi: „Łby szpiczaste i łby okrągłe" czyli „Bogacz lgnie do bogacza". Nowe Brechty już w najbliższym czasie mają być wystawione w Wiedniu.

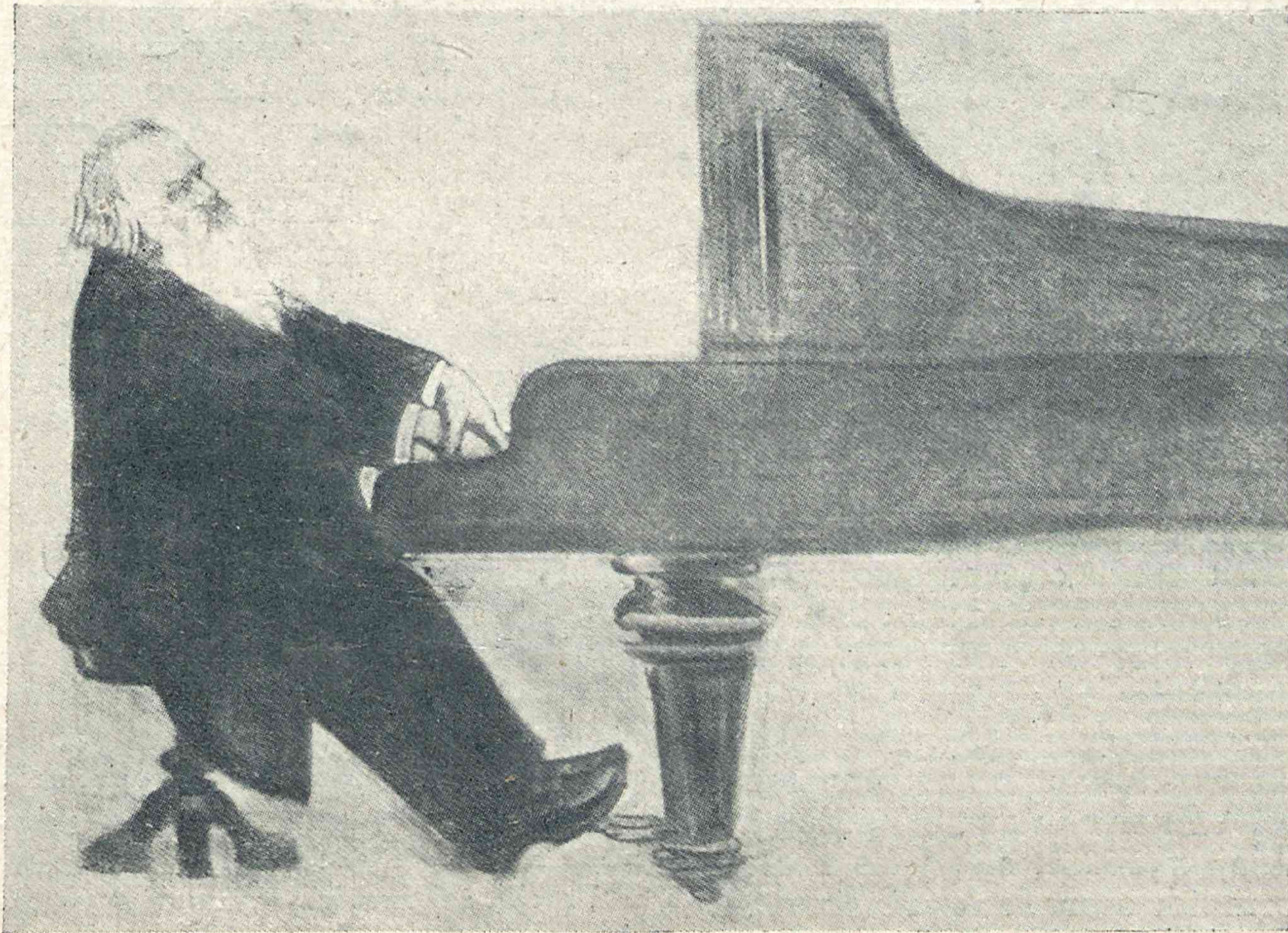
Nowe sztuki Steve Passeur'a. Najpoczytniejszy dziś wśród młodych pisarzy dramatycznych francuskich, autor świeżo wystawionej w Teatrze Polskim „Kobiety, która kupiła męża" napisał dwie nowe sztuki, tym razem komedje. Jedna nosi tytuł: *„L'amour gai"*, druga — *„La bête noire"*.

TANIEC ARTYSTYCZNY



Alina Konopkowa i Stanisława Welska, znane tancerki, wystąpią dn. 21 maja b. r. na specjalnym koncercie w Teatrze „8.30"

JOHANNES BRAHMS Z OKAZJI STULECIA URODZIN



MISTRZ PRZY FORTEPIANIE, w/g rys. W. Beckerath'a

Brahms urodził się w Hamburgu 7.V. 1833 r. Pierwszym, który się na nim poznał był Robert Schumann. Zaprzyjaźnili się w r. 1853. Wkrótce potem nieuleczalna choroba umysłowa autora „Dichterliebe", zakończona śmiercią, rozłączyła muzyków. Pozostała cicha, niezaspokojona miłość do Klary Schumann. W 30-ym roku życia osiedla się Brahms w Wiedniu, który go adoptuje i już się z nim nie rozstaje. Umiera w r. 1897.

Życie i muzyka Brahmsa są ściśle związane z rozwojem muzyki wieku XIX-go, a w szczególności przeplatają się i przeciwstawiają twórczości dwuch mistrzów: Ryszarda Wagnera i Antoniego Brucknera.

Chociaż nie można powiedzieć o Brahmsie, że za życia był zapoznany, miał bowiem i licznych i gorących entuzjastów — że wymienimy słynnego krytyka Edwarda Hanslicka, wroga wagnerowskiej muzyki — to jednak bladła nieraz jego gwiazda wobec tryumfów Mistrza z Bayreuthu. Ten ostatni i jego szkoła zarzucali Brahmsowi brak ideowości i programowości. Bruckner zaś i akolici — brak symfoniczności.

Mija lat 50 od śmierci Wagnera, a 40 od śmierci Brahmsa. Przebrzmiała epopeja wieku, przyszły nowe kierunki i szkoły, przeszła zawierucha dziejowa, która niejeden posąg zwaliła lub nadwyrężyła. Dziś, patrząc wstecz, mamy prawo ferować wyroki. Cóż się ostało? Programowość i ideowość Wagnera, znalazły się — z całym szacunkiem — w rekwizytorni bayreuckiej. „Symfoniczność" Brucknera — myszką zaczyna trącić. Pozostała genjalna muzyka jednego i drugiego, ale tylko muzyka i nic więcej. Okazuje się nawet, że wystarcza to w zupełności.

Muzyka zaś Brahmsa, która tylko nią była — i dzięki temu niedoceniona przez współczesnych — urasta ponad wiek miniony, nie tracąc nic, bo w nic nie była przystrojona i przerasta z rokiem każdym swych doczesnych rywali. Ba! — nietylko ich: dziś bowiem śmiało stawiać można Brahmsa w rzędzie największych genjuszów Wielkiego Wieku muzyki.

Dorobek twórczy pozostawił Brahms olbrzymi, gdyż był jednakowo płodny we wszystkich dziedzinach: 4 symfonje, uwertury, „Niemieckie Requiem", kilkanaście większych dzieł kameralnych, dwa koncerty fortepianowe, jeden skrzypcowy i jeden podwójny — skrzypce i wiolonczela, — kilka zeszytów pieśni, sonaty, rapsodje, intermezza, mnóstwo drobniejszych utworów instrumentalnych.

Tyleż źródeł krystalicznego natchnienia, najczystszego polotu.

A przytem — najwyższy kunszt techniczny. W połączeniu tych dwuch walorów — tak rzadkiem — leży wielkość Brahmsa.

M. Kl.

ŚWIAT KSIĄŻKI

PISMA KRYTYCZNE ANT. SYGIETYŃSKIEGO

Prof. Zyg. Szweykowski wydobył z pyłu bibljotek zapomniane, a ongiś budzące ruch umysłowy „pisma krytyczne" Antoniego Sygietyńskiego. Pisarz ten posiadał dużą niezależność sądu. Młodsza generacja nie zna go zupełnie, choć jeszcze niedawno, bo przed dwudziestu laty, ciętem swojem piórem sprawiał pogodę lub burzę wśród naszych artystów. Zasięg kryterjoznawczy Ant. Sygietyńskiego był niezwykły. Pisał o literaturze, sztukach plastycznych, muzyce. W zaraniu swojej pracy literackiej wyróżnił się, jako rzetelny informator o prądach artystycznych Francji. Szczególną sensację wywołały jego studja o francuskiej powieści z przed 150 laty.

Prof. Zyg. Szweykowski wydostał właśnie te studja, poświęcone G. Flaubertowi, E. Zoli, Al. Daudet'owi, braciom Goncourt. Zaznajamiały one z tymi autorami i krytycznie wyjaśniały metody twórcze oraz ideologje naturalizmu.

Czytane dziś zainteresowują również i wywołują szacunek dla mentalności Ant. Sygietyńskiego. Żywotnemi okazały się i uwagi o polskiej literaturze oraz sztuce. Prof. Zyg. Szweykowski przedrukował artykuły krytyczne p. t. „O wrażeniach z podróży Konopnickiej", „Poezje Hajoty", „Nasz artyzm i nasi artyści", „Na rynkach europejskich sztuki", „Nasz ruch powieściowy". Współczesny czytelnik uśmiecha się życzliwie do tych gwałtownych uderzeń, do tych ambitnych gestów Sygietyńskiego. Zjadliwa, błyskotliwa jego proza złośliwie, choć nie bez słuszności, analizuje „chwyty" podróżniczo-czułostkowe Konopnickiej, nie pomniejszając przecież wielkich poetyckich zasług autorki „Pana Balcera". Mógłby ktoś nieuświadomiony orzec, iż mylił się Sygietyński co do Konopnickiej. Nie! Sąd jego pozostał ważki, choć Konopnicka później wydostała się na czoło Parnasu. Uwagi o poezjach Hajoty bawią, co nie przeszkadza przecież, że autorka ta dała później kilka dobrych opowiadań i stała się poszukiwaną i cenioną tłomaczką. Artykuł p. t. „Nasz ruch powieściowy" z małemi zmianami i teraz jest jeszcze aktualny. Zalewa się rynek księgarski marnemi przekładami, jak ongiś i jak ongiś ogranicza się możliwości wydawnicze dla twórczości polskiej.

„Pisma krytyczne wybrane" Ant. Sygietyńskiego są bardzo potrzebnem i pożytecznem wydawnictwem. Wydostają z pyłu niepamięci umysł światły, przekorny, samodzielny, pióro jasne, ostre, panujące nad słowem. Pisma te dają pojęcie młodej generacji o krytyce polskiej z epoki tak zwanego pozytywizmu.

Eust. Czek.

ARCYKUNSZT LISTU MIŁOSNEGO

Polacy umieli kochać, ale nie umieli pisać listów miłosnych. Tak wynika z badań historyków literatury, którzy wyłowili tak małą paczkę interesujących listów miłosnych, iż napewno rumienić się musi nasz rodzimy Amor.

Trochę żakowskich gryzmołów do „miłej Kachniczki, wdówki najwyborniejszej", „do panny Eleny", „do Namyleyssej", kilka niebardzo kunsztownych wierszy, ot i niemal cała polska miłosna epistulografja wieków dawnych. Rozrzewnić nawet mogą listy Augusta i Barbary Radziwiłłówny, Jana Zamoyskiego do żony lub epistoły kasztelanowej Stadnickiej, szczególną barwę epoki i charakterów odsłoni korespondencja króla Jana III z Marysieńką, a polskie dokumenty miłosne wieku XVIII, niczem się nie różniące od francuskich czy angielskich listów tej samej epoki, wykażą niechęć Polaków do utrwalania swych sentymentów na papierze. Dopiero romantyzm trysnął wulkanami długo tłumionych uczuć, a list miłosny stał się koniecznym i częstym pośrednikiem między zakochanymi.



Aurelja Wyleżyńska

Światła i edukowana kobieta polska z pasją zabrała się do tego autorstwa.

Cóż jednak wiemy o współczesnych listach miłosnych?

Leżą one jeszcze na dnie szkatułek, niedostępne dla nikogo, prócz adresata, i późniejsze wieki ocenią dopiero ich wartość i znaczenie.

Doświadczeni twierdzą, iż są bardzo interesujące, adresaci uważają je za szczyt doskonałości, sceptycy utrzymują, iż nowożytna kobieta nie umie pisać miłosnych listów. Zamiast kreślić serdeczne słowa, szepce do telefonu, tak samo, jak dawniej szeptała na ucho zaufanej duennie, powierzając jej misję miłosną. A jednak sceptycy nie mają racji.

Przekonuje o tem wydawnictwo „Bluszczu", które w przeciągu krótkiego czasu puściło na rynek księgarski dwie znamienne książki, natchnione duchem pięknej kobiecej miłości: „Jak się kochano przed stu laty", pióra włoskiej pisarki w tłumaczeniu p. Z. Rabskiej i oryginalny polski utwór. „Z duszą twoją na ramieniu" p. Aury Wyleżyńskiej, autorki szeregu cennych monografji z dziejów literatury i obyczajowości polskiej i francuskiej.

Ostatnia książka p. Aury Wyleżyńskiej „Z duszą twoją na ramieniu" posiada niezwykłą koncepcję literacką.

Autorka ujmuje w formę listów do przyjaciela i do kochanka dzieje swych przeżyć duchowych i wrażeń w podróży po Hiszpanji.

Przyjacielowi przypadają w udziale spostrzeżenia podróżnicze, kochanek staje się powiernikiem tych uczuć, które budzą się w autorce w zetknięciu z nieznanym jej dotąd światem piękna i poezji...

I ta część utworu stanowi o trwałej wartości książki p. Wyleżyńskiej.

Podobnych listów niewiele znajdzie się na przestrzeni całej literatury. Bystrość obserwacji, dowcip, subtelność wyczuć kojarzy się wybornie z bezradnością dziecka, to znów z żarem namiętności i cienką ironją intelektualistki. Z tych listów wyłania się oblicze najwyższego gatunku kobiecości, wobec której niema innej obrony — tylko kapitulacja.

Zgubiony ten, do kogo adresowane są takie listy.

I jeśli wątpią sceptycy, czy miłość we współczesnej dobie bankructwa ideałów jest jeszcze wartością pozytywną, niech wezmą Wyleżyńskiej „Z duszą twoją na ramieniu", a przejrzą się w zwierciadle duszy nowożytnej kobiety, która idąc na wyprawę życia uzbraja się w intelekt, ale zwycięża uczuciem.

W. B.

Warszawa czasu wojny w karykaturze

W przyzwoitej odległości od pałaców sztuki, na drugiem piętrze, w niezbyt podłym lokalu przy Nowym Świecie 19, mieści się wystawa Wacława Lipińskiego.

Tam mu nawet wygodniej i serdeczniej, niż w pałacowych salach, bo dość przepaściste schody nie powstrzymują tylko przyjaciół i entuzjastów od odwiedzin.

Mało kto tam zagląda, ale zato same szczere dusze.

Uroczowprawna sprzedawczyni biletów płomienieje z radości na widok gościa i w szalonem tempie, śmigając od kasy do bufetu, zaklina daremnie dyrekcję, sekretarjat, szatnię i skarbowość wystawy o zmianę lub wydanie reszty ze złotówki.

Dyrektor artystyczny goreje zapałem i tłumaczy:

— Oto — Wacław Lipiński, karykaturzysta, filar dawno zmarłego „Ogonka" i „Il. Kurjera Niedzielnego", ozdoba „Świata" od roku 1917 do 1918, ośmioletni figlarz z „Muchy". Prezentuję jego wystawę „Warszawa w czasie wojny i dzisiejsza", proszę patrzeć i podziwiać!

Po pierwszem zdaniu poznać odrazu, że to wielbiciel, a tej odrobiny atmosfery uwielbienia potrzeba artyście, aby stworzył.

Bardzo więc pięknie ze strony „Klubu", iż przygarnął artystę w swoje wysokie progi, otoczył opieką i dał mu gościnę.

Tak rzadko zdarza się w warszawskich klubach gest medycjuszowski, a przecież kluby angielskie i niemieckie niemałą odegrały rolę w bogaceniu kultury swych narodów.

W Polsce jeszcze nie, ale taksamo będzie. Nowy Świat 19 dał przykład i akuratnie trafił doskonale.

Wacław Lipiński jest w tej chwili najzabawniejszym malarzem w Polsce. Był ukochanym uczniem Stanisława Lentza, ale nie w portretach, nie w kolorze, lecz w karykaturze.

Przedewszystkiem posiada humor, ten boski dar niespodziewanego kontrastu, który nawet Zeusa olimpijskiego przyprawiał o kolki w boku.

Pozatem jest Lipiński bystrym obserwatorem zjawisk życiowych, które układają mu się w barwne kompozycje, wolne od złośliwości, śledziennictwa i wątpliwej wartości morału, tak często nieodłącznego od polskiej karykatury.

Chce się śmiać i kwita, nie wysługuje się nikomu, żadnym partjom, żadnym koterjom, kpi na prawo i lewo, krótko mówiąc sowizdrzał, który nie umie urządzić sobie życia i wymiarkować, że w gromadzie potęga, a w podskakiwaniu karjera.

I taki to właśnie bezpański kandydat na głodomora stworzył „dokument czasu", który pozostanie w kulturze polskiej na wieczną rzeczy pamiątkę.

Już dzisiaj cykl jego karykatur „Warszawa w czasie wojny" traci historycznością, jakkolwiek upływa zaledwie lat piętnaście od owej epokowej doby. Zdążyło już jednak urość nowe pokolenie, dla którego brzmią, niby baśń o żelaznym wilku, perypetje warszawianina pod moskalem i niemcem.

A przecież ten szmat życia polskiego godzien jest uwagi, nie tylko dla ciekawości historycznej, ale dla stwierdzenia niezniszczalnej energji narodu, który w najtragiczniejszych chwilach zdobywał się na bohaterstwo śmiechu i kpiarstwa.

Nie drażniąc i nie raniąc człowieka, stwarza Lipiński komizm sytuacji, którą podpatrzył, sam biorąc w niej udział, jako jeden z tej wielotysięcznej rzeszy, która umiała nie tylko żyć z błogosławieństwem uśmiechu na ustach ale równie radośnie ginęła dla wielkiej sprawy.

Witołd Bunikiewicz



Wacław Lipiński — *„Nasi naszych prowadzą" (rok 1914)*



Wacław Lipiński — *„Szmugiel" (rok 1915-18)*



Wacław Lipiński — Fot. A. Janczewska — *„Rozbrojenie" (rok 1918)*

Człowiek, który wygrał miljon...

(NOWELKA)

— No cóż, Vernobre, wygrałeś dziś miljon?

Pierwszego każdego miesiąca witali go koledzy w biurze tem samem ironicznem pytaniem; wiedzieli, że pani Vernobre otrzymała w prezencie od wuja miljonówkę. Od szeregu lat Vernobre gorączkowo przebiegał wzrokiem podłużne szeregi numerów loteryjnych, aby po chwili odłożyć gazetę i odpowiedzieć z goryczą:

— Tym razem jeszcze nie...

Ostatnie ciągnienie odbyło się właśnie wczoraj; Vernobre rozłożył gazetę na biurku i przeszukiwał szpalery cyfr, tak, jak tysiące innych graczy. Nagle poczerwieniał i zarząsł się cały. Ach! Los z niego znów zadrwił: Dwójka zamiast trójki — i główny los byłby w jego posiadaniu. Przeklęta cyfro! Zrobiło mu się gorąco ze zdenerwowania. Czerwone plamy wystąpiły na twarzy. Wpatrywał się z nienawiścią w wylosowany numer: Jaki szczęśliwy jest teraz posiadacz tego biletu loteryjnego: Może co dzień chodzić do teatru, może sobie sprawić jeszcze ze dwa garnitury, może spędzić urlop nad morzem...

Na samą myśl o urlopie uśmiechnął się. Koledzy biurowi pojęli snać opacznie ten uśmiech, gdyż natychmiast kilka rąk wyciągnęło się ku niemu.

— Winszujemy ci, Vernobre! Ho, ho! Już teraz napewno zapomnisz o starych kolegach!

Ich głosy strąciły Vernobre'a z obłoków. Spojrzał na kolegów z nietajonem zdumieniem:

— No, wiecie?! Dajcie spokój! Co za przypuszczenia?!

— Tak, tak! Znamy się na tem! Słuchaj, Gaston, jeżeli nie urządzisz oblewania, to niech cię nie znam!

— Ależ...

Tymczasem po całym banku gruchnęła wieść, że Vernobre, skromny urzędniczyna z działu dewizowego, wygrał miljon franków. Natychmiast przybiegł prokurent i, potrząsając serdecznie dłonią Vernobre'a, zaczął mu winszować:

— Dziwi mnie to, że pan tu jeszcze jest! Czemuż pan nie idzie do domu, by podzielić się z żoną tą radosną nowiną! Szczęśliwcze, jakże się bardzo cieszę!...

— Panie szefie! — chciał oponować Vernobre.

— Ależ, tak, tak! Może pan iść, i to czem-prę-dzej! — skandował, popychając Vernobre'a ku wyjściu.

— Istotnie... — mówił Vernobre, nie zdając sobie sprawy z tego, co się wokoło niego działo. Był oszołomiony. Nim się spostrzegł, znalazł się na ulicy. Świeże powietrze go orzeźwiło: Uprzytomnił sobie całą przygodę i nagle roześmiał się na głos. Przechodnie poczęli się na niego gapić...

— Szczęście go oszołomiło! — powiedział pan Laurin, szef korespondencji, który wyglądał oknem — Patrzcie tylko, co ten warjat wyprawia!...

— Vernobre jest uczciwym, pracowitym i zrównoważonym człowiekiem. W zupełności zasługuje na tak wielkie szczęście! — dodał pan Ledoux, prokurent banku.

Teraz należał się szacunek *miljonerowi* Vernobre!...

*

Vernobre wpadł, jak burza, do swego skromnego mieszkania.

— Posłuchaj, Zuzanno, co za świetny kawał! — mówił, zajadając smakowicie zupę.

Nie dokończył. Łyżka wyślizgnęła mu się z ręki i, wpadając do talerza, obryzgała zupą marynarkę Vernobre'a.

— Gastonie, co się z tobą dziś dzieje?! — zgromiła go żona! — Teraz, przez własną nieostrożność, masz nowy wydatek: Musisz oddać garnitur do pralni i pójść jutro do biura w odświętnem ubraniu.

Następnego dnia Vernobre zaspał i spóźnił się do biura, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Tylko jeden z urzędników obejrzał nowy garnitur, pokręcił głową i powiedział z przekonaniem:

— Chociaż raz wygląda pan jak człowiek!

Vernobre udał, że nie słuszy. Do djabła, uważali go za miljonera! Trudno! Życie lubi czasem takie sytuacje!

— Pan dyrektor kazał pana prosić — powiedział goniec, zginając się w pełnym szacunku ukłonie.

Gastonowi zrobiło się zimno:

— Dowiedzieli się o wszystkiem i wyrzucą mnie za drzwi! — pomyślał. Chwiejąc się na nogach, stanął w drzwiach gabinetu dyrektora.

— A, witam! Niechże pan siada, drogi przyjacielu! Musimy pomówić o ważnych sprawach. Po pierwsze: Czy pan jest zadowolony z posady? No tak, od wczoraj napewno zmienił pan swoje wymagania!



— Otóż, panie dyrektorze, muszę...

— Rozumiem, rozumiem! Jeżeli panu na nas choć trochę zależy...

— Miły Boże! Chyba odwrotnie!...

— Pan jest nader uprzejmy, Vernobre. Ten miljonik przyszedł panu w porę, he?!

Jak długo będzie trwała ta przeklęta maskarada?! Vernobre postanowił wyznać wszystko. Nie mógł jednak wykrztusić słowa.

— Pan jest naszym nader miłym i oddanym współpracownikiem — ciągnął dalej szef. — Muszę panu wyznać, że od przyszłego tygodnia mój zastępca zostaje przeniesiony do filji w Londynie. Gdyby pan nie miał nic przeciwko temu, chętnie widziałbym pana na jego stanowisku...

— Nie mogę, panie dyrektorze, gdyż... ja wcale...

— No, niechże się pan nie ociąga! Przecież to pierwszy stopień do wspaniałej karjery! Pan jest taki młody, Vernobre! — silił się dyrektor na pozornie szczery ton.

Vernobre nie usiłował już wyprowadzać z błędu dyrektora. Trudno, niech się dzieje, co chce!

— W jakim dziale pragnąłby pan być zatrudniony? — nalegał dyrektor.

— W dewizowym! — wypalił bez namysłu Vernobre. Powiedział to, ot, by zakończyć tę męczącą rozmowę. Potem podniósł się ciężko z fotela i skierował ku drzwiom. Dyrektor był graczem nielada. Proponując Vernobre'owi objęcie tak odpowiedzialnego stanowiska, miał w tem pewien zgóry wytknięty, przemyślany plan. W chwili, kiedy Vernobre ujmował klamkę, dyrektor rzucił, jakby od niechcenia:

— Mógłby pan ślicznych rzeczy dokonać przy pomocy swego miljonika franków!

Vernobre przymknął oczy: znów ten miljon!

— Gdyby pan miał stosunki, zrobiłby pan wiele — ciągnął dalej dyrektor...— Wie pan co? Mam dla pana propozycję: Wkładam pięćset tysięcy franków i robimy interes, mając półtora miljona franków kapitału zakładowego...

— No, a cóżby pan dyrektor powiedział, gdyby okazało się, że ja wcale nie wygrałem miljona franków?—zdobył się Vernobre.

— Ha, ha! Wyborny kawał! — śmiał się dyrektor. — Toby mnie jeszcze upewniło w moich zamierzeniach! Ma pan bujną wyobraźnię! No, więc cóż, przyjmuje pan mą propozycję?

Na wszystko przygotowany, Vernobre odpowiedział:

— Przyjmuję!!!

Nic się napozór nie zmieniło w życiu Gastona Vernobre przez przeciąg następnych sześciu miesięcy. W godzinach pozabiurowych zamykał się w swoim pokoju, studjował różne pisma, wertował akcje, rozważał, które z nich mogą się na coś przydać, a które nie przedstawiają żadnej wartości. Któregoś dnia wmieszał się w tłum na giełdzie. W następnem półroczu na jednym z bulwarów wyrósł niewielki, lecz okazały gmach, nad którego wejściem widniały złote litery: „BANK VERNOBRE". Vernobre stał się głośny. Popularność jego wzrosła tem bardziej, że znano powszechnie jego dotychczasowy tryb życia i opowiadano o bajecznej poprostu karjerze tego człowieka.

A pani Vernobre? Teraz rozkwitła i wypiękniała; królowała na wszystkich balach kostjumowych Paryża.

Pewnego wieczoru państwo Vernobre podejmowali u siebie kilka osób ze świata towarzyskiego; między gośćmi był również minister finansów i były prezydent Republiki. Rozmowa toczyła się w najlepsze, gdy nagle spojrzenie Vernobre'a padło na leżącą na stole gazetę.

— Zuzanno! — zwrócił się do żony. — Czy nie przypominasz sobie przypadkiem numeru tej obligacji, którą dostałaś w swoim czasie od twojego wuja?

Pani Vernobre zdumiała się:

— No wiesz?! Jeszcze to miałabym pamiętać! Ale, jeżeli ci tak bardzo na tem zależy, to pójdę do mego pokoju i zobaczę...

— 263888-E — powiedziała, powróciwszy po chwili do salonu. — A dlaczego o to pytasz?

Vernobre wzruszył ramionami, puścił kłąb dymu cygarowego i odpowiedział niedbale:

— Eh, nic ważnego! Wygraliśmy miljon franków!...

Z franc. tłum.
Mieczysław Owczarek.

Słucham Radja

Dla ludzi pracy codziennej niedziela jest dniem wypoczynku i... nudy. Należałoby to wziąć pod uwagę w układzie programów radjowych i dostarczyć radjosłuchaczom odpowiednio niefrasobliwych audycji. Niestety, dzieje się inaczej. Weźmy konkretny przykład:

W ostatnią niedzielę transmitowano z Łodzi i Warszawy dwie uroczyste akademje z szeregiem mów. Już na pamięć znamy treść tych przemówień, pełnych patosu i wielkich, za wielkich na codzień słów. Jakże dosyć mamy uroczystych nastrojów, owego ciągłego grania na najwyższej strunie uczuć patryjotycznych. Znudzeni wyłączamy radjo i żal nam, serdecznie żal, ministrów, wojewodów i prezesów — z obowiązku cierpliwych słuchaczy napuszonych banałów, powtarzanych wkoło jak rok długi. Oni nie mogą się „wyłączyć", i mimo, że niedziela jest ustawowo w Polsce dniem odpoczynku — dla wszystkich bez wyjątku obywateli, nasi dygnitarze męczą się najwięcej właśnie w niedzielę. — W oczy bijąca niesprawiedliwość.

Przerwane w styczniu pogadanki kącika językowego zostały obecnie wznowione. Udzielanie wskazówek językowych jest bardzo potrzebne i byłoby nawet zajmujące, gdyby pomijać naiwniejsze zapytania radjosłuchaczy i prowadzić je nieco żywiej. Narazie jest nudno. Chyląc głowę przed autorytetem profesorskim w dziedzinie językoznawstwa, mam pewne zastrzeżenia co do poprawności zwrotu: „odpowiedzi pisemnych dawać nie jestem w stanie". (Cytuję dosłownie z ostatniego kącika). Lepiejby było właśnie w kąciku językowym unikać zwrotów wątpliwej wartości.

Wesoła audycja ze Lwowa, to głośna i krzykliwa rozpacz wiecznie powtarzanych walców wiedeńskich pod djalekt lwowskich batjarów. — Ckliwe wspomnienia z lat austryjackiej niewoli, naszpikowane kiepską niemczyzną, lwowskiej gwary, są mało dowcipne, raczej obrzydliwe.—Mieliśmy wątpliwości zapowiadając w zeszłym tygodniu tę audycję i, niestety, przewidywania nasze sprawdziły się, — automatycznie prawie nadawane wesołe transmisje ze Lwowa, to tragiczne nieporozumienie co do pojęcia wesołości między słuchaczami a dyrekcją programową.

Dziedzina humoru jest bezwątpienia najsłabszym punktem audycji radjowych. Niebawem napiszemy o tem szerzej.

Transmisja operetki z „Morskiego Oka" wypadła słabo i bardzo niezrozumiale. Aktorzy, grając wobec widowni, nie mogą ustawiać się przed mikrofonem, stąd prawdopodobnie wypływają owe defekty radjofoniczne.

Radość radjoabonentów wywoła zniżka opłaty miesięcznej z 3.30 na 3.— zł. miesięcznie, obowiązująca już od przyszłego miesiąca.

W nadchodzącym tygodniu wydają się nam polecenia godne audycje: 19.V. Koncert symfoniczny z Filharmonji Warsz. i feljeton literacki dra Makowieckiego p. t. „Tajemnice stylu Norwida"; 20.V. Koncert Chopinowski w wykonaniu p. B. Kona; 21.V. Poranek Symfoniczny z udziałem tenora Umberto Macnez'a; 22.V. Koncert solistów i operetka Suppe'go „Lekka Kawalerja"; 23.V. Feljeton muzyczny prof. Rydzewskiego i koncert symf. pod dyr. W. Berdjajewa; 24.V. Audycja wesoła p. Mery Didur z zespołem gitarzystów, recital fortepianowy Leopolda Mueuzera; 25.V. Recital p. Ireny Dubiskiej i transmisja z międzynarodowych zawodów lotniczych w Warszawie.

Jelaud.

Dach nad głową za 5 groszy



1. NA TAMTYM BRZEGU.

Przy spokojnej, dość odludnej uliczce na Pradze szary i smutny dom o zarysach fabrycznych. Kiedyś rzeczywiście była tu fabryka wody sodowej. Dziś mieści się dom noclegowy dla inteligencji. Jakiż tragizm brzmi w samej nazwie, a ile jeszcze większych tragedji ukrywa się w tych murach.

Znają dobrze ten dom wszyscy, których życie pozbawiło możności zarobkowania, zdobycia choćby minimum egzystencji, słowem, postawiło „na tamtym brzegu".

Wczesny wieczór wiosenny. Na nagich jeszcze drzewach rwą się ku radości i słońcu nabrzmiałe pąki, by rozwinąć w zielone pióropusze i głosić radość życia. Co chwila odmyka się ciężka brama, za którą znika sylwetka męska. W sieni, przed niewielkiem okienkiem czeka dość długa kolejka mężczyzn biednie, lecz przeważnie czysto ubranych, od kilkunastoletnich wyrostków począwszy, aż do staruszków, którym życie pochyliło plecy, siwizną przyprószyło włosy. Wszyscy wykupują bony na nocleg, a szczęśliwi, którym udało się zarobić parę groszy, także kwitki na herbatę, chleb, papierosy, czasem nawet na zupę i mięso. Kilku lokatorów rozmawia półgłosem w sieni, paru spaceruje po podwórzu, rozkoszując się ciepłym wieczorem. Do przepisanej godziny spoczynku jeszcze daleko.

W niewielkiej kancelarji urzęduje istotny opiekun domu brat Albertyn — Bernard. Na tle bronzowo-szarego habitu, przypominającego włosienicę, jasną plamę tworzy okrągła, jowialna twarz, o szarych oczach, z których promieniuje szczerość i dobroć. Nieogolone wargi co chwila rozchyla dziecinny uśmiech, tak rzadko spotykany u dorosłych.

Głosem cichym, przerywanym częstemi pauzami opowiada brat Bernard o niedoli ludzkiej, o swoich lokatorach, którzy są jego najukochańszemi dziećmi.

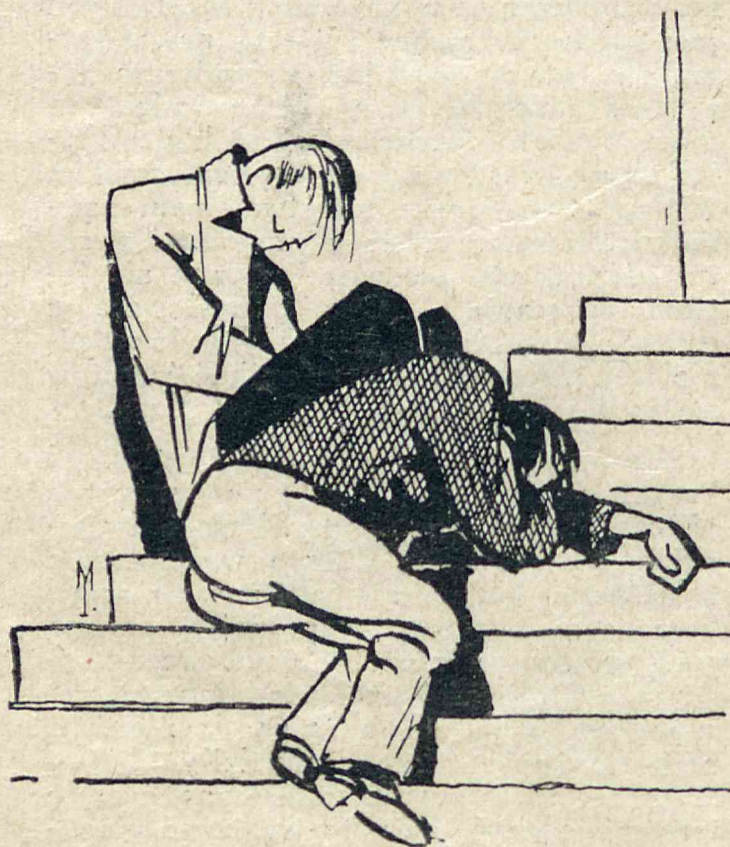
— Bieda straszna wśród ludzi, aż się serce krwawi i nieraz płakać się chce. W naszem schronisku, które przeznaczone jest dla 130 osób, nocuje codziennie po 320 i więcej. Śpią gdzie się da: na schodach, korytarzach, każdy kawałek miejsca jest zajęty. Ale co robić?... Jak przyjdzie taki biedak, to przecież na ulicy go nie zostawimy. Tu przynajmniej deszcz nie pada i wiatr nie dmucha, zawsze mu lepiej. Mamy dwa rodzaje lokatorów: stałych, którzy mieszkają po sześć, siedem lat i przygodnych. Taki śpi noc, dwie, czasem dłużej — i znika. Wszyscy opłacają za nocleg jednakowo, po 5 gr. za dobę. Nawet, ci, którzy mieszkają stale, nie są w stanie zapłacić jednorazowo półtora złotego. Suma taka jest dla nich marzeniem.

— A jeśli kto nie ma 5 groszy?...

— To na bruku go nie zostawiamy. Jeśli głodny, dostanie chleba, herbaty, albo zupę, lub mięso. Gdy zarobi — odda... To ludzie biedni, nieszczęśliwi, lecz uczciwi — dorzuca brat Bernard, jakby pragnąc uprzedzić wszelkie powątpiewanie. — Bezpłatnych noclegów udzielamy około 2,000 miesięcznie.

— Z jakich sfer rekrutują się lokatorzy?

— Z jaknajlepszych. Wszyscy są ofiarami wojny, nędzy, kryzysu, bezrobocia. Kogo tu niema?... Adwokaci, lekarze, zredukowani urzędnicy, handlowcy, rzemieślnicy, są dwaj aktorzy. Rekrutują się z całej Polski. Wielu przywędrowało do Warszawy, myśląc, że tu łatwiej o pracę. Nawet pan nie przypuszcza, ilu ludzi uratowaliśmy tym kątem i kubkiem herbaty od rozpaczy i występku. Gdy któremu uda się znaleść pracę, żegnając się, dziękuje i błogosławi... Ludzie nie są źli — mówi po chwili zadumy szary braciszek — tylko życie takie straszne...



I patrząc w tę dobrą, bez cienia obłudy, twarz, wiem, że tu nie kupczy się wskazaniami Dobrego Nauczyciela, który nakazał ubogiego w dom przyjąć. Tu niema blichtru, przepychu i obłudy; tu mieszka Miłosierdzie...

Zwiedzamy sale, których jest pięć. Na czystych, bronzową olejną farbą pociągniętych pryczach siedzą bezdomni. Ten i ów porządkuje swoje ubogie mienie, kilku czyta gazety, w kącie partyjka domina. W jednej z sal, przeznaczonej wyłącznie dla inteligencji, pochylony nad lichą walizką szczupły staruszek. Dziwnie szlachetne linje twarzy, rasowy zarys głowy, piękna biała czupryna i broda.

— Prokurator rosyjski z Petersburga— szepce brat Bernard — ongiś magnat, dziś nędzarz...

Jak straszne igraszki płata nieraz los i ileż wycierpieć musiał ten człowiek, zanim pogodził się z obecną swoją sytuacją, o ile wogóle się pogodził...

Mimo, że tych ludzi życie zepchnęło niemal na szczebel najniższy, niema tu występku. Sami lokatorzy dbają o poziom moralny, to też przełożony domu nie potrzebuje uciekać się do środków represyjnych. Troszczą się też o zewnętrzną czystość, korzystając z bezpłatnej łaźni miejskiej i uniemożliwiając poprostu brudasom wstęp na salę.

Czysto na salach, w kuchni, w stołowni, gdzie za 18 gr. można dostać miskę pożywnej zupy, a za 30 porcję mięsa z dwiema jarzynami. Rano wychodzą wszyscy na miasto, szukać pracy, wieczorem wracają. Wielką ulgą i pomocą dla nieszczęśliwych była świetlica, założona przez gen. Składkowską, gdzie w cieple mogli przebywać po parę godzin, korzystając z taniego, a częstokroć bezpłatnego jedzenia, gazet i książek. Niestety, z braku funduszów świetlica na czas letnich miesięcy została zamknięta. W niedzielę i święta lokatorzy mogą przez cały dzień przebywać w domu. Po nabożeństwie w kaplicy wszyscy dostają darmo śniadanie.

— Ale niech pan nie myśli, że dostają śniadanie za to, że idą do kościoła — dodaje żywo brat Bernard. — My nikogo nie przymuszamy... Tylko założyciel naszego zakonu polecił w dzień świąteczny wspomagać ubogich...



Otwarcie domu w święta przez cały dzień podyktowane jest subtelną delikatnością. Większość tych biedaków wstydzi się poprostu wychodzić na ulicę w swoich zniszczonych ubraniach. Ubranie jest największą troską brata przełożonego.

— Tyle ubrań niepotrzebnych marnuje się po różnych domach — wzdycha, — gdyby też ludzie chcieli dopomóc... Niejednemu biedakowi możnaby taką łaskę wyświadczyć, zamiast za parę groszy sprzedawać handlarzom...

Żałuję w tej chwili, że nie jestem właścicielem zakładu krawieckiego, lub też nie mogę oddać w dobrotliwe ręce brata Bernarda solidnego czeku.

Kiedy wreszcie pożegnałem go, wszystkie moje troski i kłopoty wydały się takie drobne i nieważkie. Bo, żeby zobaczyć prawdziwą biedę ludzką, trzeba przejść na „tamten brzeg" — na ulicę Jagiellońską 19.

2. NA DNIE.

Kilka lat przed wojną na scenach niemal całego świata grywany był dramat Maksyma Gorkiego „Na dnie", przedstawiający rosyjski dom noclegowy. Szmat życia w nim przedstawiony i przeplatany gęsto filozoficznemi rozmówkami jest piękną bajką w porównaniu z atmosferą drugiego domu noclegowego w Warszawie, osławionego „Cyrku", przy ul. Dzikiej 4.

Tu znajdują kilkugodzinny przytułek ludzie, których jak rdza przegryzły ciemnota, występek i nędza. Tu jest prawdziwe ghetto życia. W drewnianym baraku, obliczonym na kilkaset osób, nocuje po tysiącu. Śpią literalnie jedni na drugich.

Brat-przełożony stanowi przeciwieństwo brata Bernarda. Drobny, o ascetycznej, surowej twarzy, między brwiami głęboka bruzda, świadcząca o ciężkich i ponurych myślach. Z ust jego padają słowa twardej i gorzkiej prawdy.

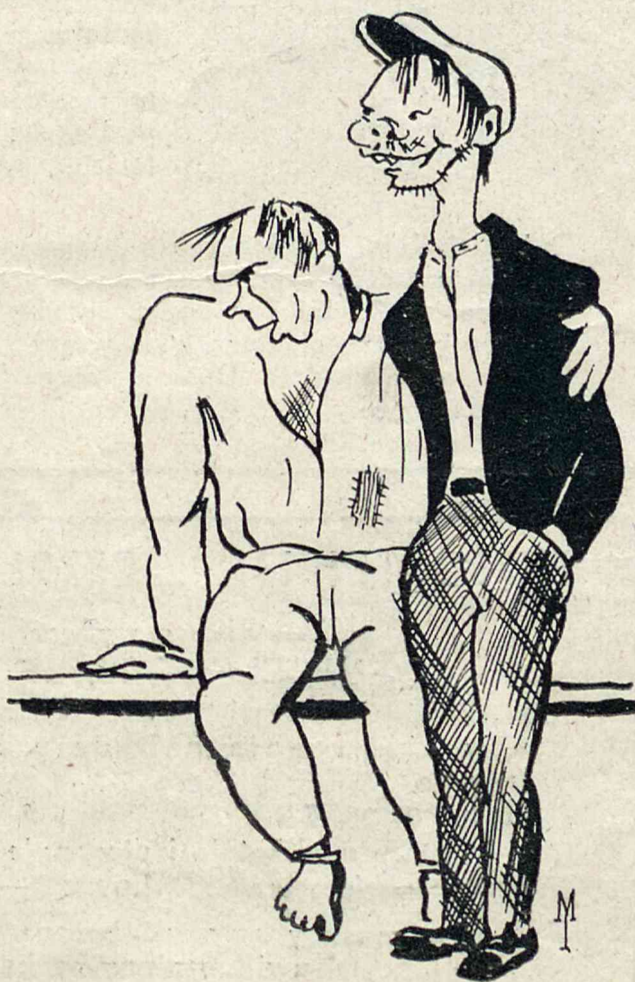
— Mam żal do panów dziennikarzy. Nie przychodzą tu wiedzeni uczuciem współczucia, czy chęci dopomożenia, lecz w poszukiwaniu jaskrawej sensacji. Z nieszczęścia ludzkiego robi się żer dla stępionych nerwów, lekturę dla gawiedzi, wypisuje się nieprawdę, wyssane z palca historje. Tam, w waszych środowiskach nazywa się moich lokatorów wyrzutkami i zbrodniarzami, a oni tylko głodni i ciemni. Jeśli któryś ukradnie bochenek chleba, lub kilkanaście groszy, to nie wolno go zaraz potępiać, trzeba mu raczej dopomóc... Sensacji i brudów lepiej szukać tam — w wielkim świecie... Stawiacie pomniki prawdziwym i urojonym bohaterom. Ale co z tego przyjdzie umarłym?... O tem jednak, by wystawić pomnik żywy i dopomóc tym nieszczęśliwym biedakom — społeczeństwo nie pomyśli... Pewien dziennik otworzył listę składek dla dobrze sytuowanej pisarki, lecz nie postarał się o to, aby choć jedną złotówkę zdobyć na domy noclegowe. Od dziewięciu lat kołaczę do serc wszystkich napróżno. W Grochowie od trzech lat buduje się dom noclegowy, który zapewniłby dach nad głową kilkuset nędzarzom i niema go za co dokończyć...

Zapada ciężkie przygnębiające milczenie. Żadna odpowiedź nie przychodzi na myśl, bo cóż na te gorzkie słowa odpowiedzieć...

Przez cienkie, drewniane ściany dolatują krzyki, wymysły, pijackie śpiewy. W dusznej poczekalni stoją niby posągi nieruchome sylwety posterunkowych, którzy każdej nocy pełnią w „Cyrku" przykrą służbę.

Ciężko tu oddychać...

j. s. w.



Rys. Ig. Makomaskiego.

Prezes Związku Komorników



JAN SANKOWSKI,

b. burmistrz Grodziska Mazowieckiego, długoletni komornik sądowy w Warszawie, został na ogólnym zjeździe wszystkich komorników Rzeczypospolitej Polskiej, odbytym w naszej stolicy dn. 7 maja 1933 r. jednomyślnie powołany na stanowisko Prezesa Związku Głównego pomienionej organizacji, co było wynikiem ogólnego uznania i sympatji, jakiemi cieszy się nowoobrany prezes

DAVIS CUP

Rycerze białego sportu lada dzień wylegną na korty. Furkot piłek, pracowity pojęk rakiet: kto lepszy, kto górą. Z wiosną ogarnie nas wielka żarliwość — musimy pobić niepobitych dotychczas współzawodników, musimy podnieść do maximum naszą kondycję. A więc surowy reżim osobisty. Regularny tryb życia, żadnych nadużyć zdrowia, nikotyna... Tu się właśnie rozpoczyna pierwsza tragedja. Z jednej strony przykro nam się rozstawać z miłem przyzwyczajeniem, z drugiej strony wymogi sportu są nieubłagane. Palić, to znaczy obniżyć swoją kondycję o jeden punkt, nie palić istna preferencja wobec palących przeciwników. Ale możemy sobie bez nakładu trudów, bez samowyrzeczenia się doskonale rozwiązać to zagadnienie. Trzeba palić papierosy odnikotynowane!

Tak jest, w okresie letnim papieros odnikotynowany jest jedynem wyjściem dla sportsmana. Oszczędzimy sobie w ten sposób niepotrzebnej szarpaniny nerwów, a z drugiej strony całkowicie zastosujemy się do wymogów sportu. Trzeba jednak wiedzieć, że żadne waty, filtry i t. p. namiastki de facto nie przyczyniają się do odnikotynowania papierosów. Prawdziwie odnikotynowane papierosy to te, które przy specjalnych chemicznych zabiegach wyrabia Państwowy Monopol Tytoniowy.

S. W.

Z żałobnej karty

Ś. p. dyr. Leon Kopytowski

W niedzielę, dnia 7 maja zmarł po krótkiej chorobie ś. p. Dyr. Leon Kopytowski, Dyrektor i Generalny Przedstawiciel na Polskę Włoskiej Sp. Akc. Towarzystwa Ubezpieczeń „Riunione Adriatica di Sicurtà", Dyrektor i Członek Zarządu Towarzystwa Ubezpieczeń „Piast" Sp. Akc.

Ś. p. Dyr. Leon Kopytowski urodził się w Warszawie dnia 14 kwietnia 1870 r. Studja matematyczne ukończył na Uni-



Ś. p. Dyr. Leon Kopytowski

wersytecie Petersburskim. Poświęciwszy się karjerze ubezpieczeniowej piastuje przez długi czas stanowisko dyrektora Towarzystwa Ubezpieczeń „Rosja" w Petersburgu. Po powrocie do kraju poświęca się działalności na niwie asekuracji polskiej, zostaje członkiem Polskiego Instytutu Aktuarjuszy, członkiem zarządu i dyrektorem Towarzystwa Ubezpieczeń „Piast" jakoteż Gen. Przedstawicielem na Polskę i Dyrektorem Wł. Sp. Akc. Tow. Ubezpieczeń „Riunione Adriatica di Sucurtà". W Zmarłym traci Asekuracja Polska jednego ze swych najwybitniejszych przedstawicieli.

Ś. p. Jan Adam Radlicki

Ś. p. Jan Adam Radlicki ur. 28 grudnia 1884 r. w Warszawie, zmarł 9 maja 1933 r. w Milanówku. Syn powstańca Włodzimierza, obywatela ziemskiego z okolic Rawy Mazowieckiej, odziedziczył z domu polityczne tradycje. Stąd też od najmłodszych lat brał czynny udział w ruchu Niepodległościowym. Należąc do Narodowego Związku Robotniczego najpierw w Łodzi a później w Warszawie — jest członkiem zarządu Okręgu a później Zarządu Głównego tej partji. Partji tej nadaje wybitnie bojowy charakter. W Łodzi za jego przyzwoleniem dokonuje się zamach na ówczesnego gubernatora Kaznakowa. W okresie największej reakcji przedwojennej krzewi dążenia Wolności. Jest delegatem N. Z. R. na zjazdach skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych w Krakowie i Wiedniu, gdzie osobiście styka się z Piłsudskim; w Warszawie współdziała przy wydaniu w momencie



Ś. p. Jan Adam Radlicki

ogłoszenia mobilizacji antymobilizacyjnej odezwy — opowiadając się za Legjonami. Współdziała przy organizowaniu P. O. W. W 1920 r. jako ochotnik walczy na froncie bolszewickim.

Oddzielną i niezatartą ma kartę w dziejach walki o szkołę polską. Za pracę swą jest wielokrotnie aresztowany.

Odznaczony został Krzyżem Niepodległości.

Z dziedziny kosmetyki

P. Eli w Krakowie: Najlepszy krem pod puder, to *Krem Seta.* Doskonale się wciera i utrzymuje puder, jest przytem neutralny, tak, że nadaje się nawet do bardzo wrażliwej cery. Co się tyczy pudru, to najlepszy będzie nietłusty *puder Abarid,* który nie zawiera metali, więc nie psuje cery i doskonale przylega.

Lwowiance: Pomimo palenia będzie Pani zawsze miała białe i zdrowe zęby, jeżeli będzie Pani do mycia rano i wieczorem stosowała *wybielający proszek Albol. Proszek Albol* nietylko bieli zęby, ale je konserwuje, jest przytem bardzo miły w użyciu.

P. Kazi w Ł.... Jeżeli Pani idzie o dobry krem, a przytem zastrzega się Pani, że musi być tani, to polecam Pani *krem Seta,* który jest doskonały, wciera się do sucha i jest przytem zupełnie delikatny, przygotowany na Mitinie, tak, że może być używany nawet przy bardzo wrażliwej cerze. Jeżeli jednak jeszcze będzie za drogi, to radzę *krem Promienny,* który pomimo niskiej ceny, jest doskonały, szczególniej dla osób przebywających dużo na powietrzu, gdyż chroni cerę przed zmianami temperatury i łagodzi ostre działanie promieni słonecznych.

Życzliwej: Dziękujemy za słowa uznania. Coprawda, to jeszcze nie miałam wypadku, żeby *krem Abarid* nie dał efektu, szczególniej przy dłuższym użyciu, a już co do pudru, to lepszego nad *puder Abarid* nie mamy. Chcę Pani, żeby córka opaliła się nie na czerwono, tylko na brązowo. Radzę więc zastosować przez 2—3 dni smarowanie się *olejkiem włoskim Yambo* Perfection, i zostawać potem przez 2—3 godziny na słońcu. Po 3-ch dniach cera będzie ciemna. Puder na b. ciemną cerę polecam *Abarid* kolor *Mandarin* lub *Ambreé.*

M-me Ercedès.



P. Zofja Sikorska, córka b. premjera, otrzymuje I-szą nagrodę

PANIE JEŻDŻĄ...

O konkursach hippicznych z udziałem pań i o tem, kto zwycięża...

Uporczywy dzwonek telefonu.
— Hallo, hallo?
— Tu rotmistrz M... Może pani przyjdzie jutro w południe do Ujeżdżalni Wyższej Szkoły Wojennej.
— Czy będzie coś ciekawego?
— Zobaczy pani konkurs hippiczny. Jeżdżą panie i oficerowie.
— Ej, czyż panie zechcą się mierzyć z takimi jeźdźcami, jak ułani? Przecie to zawodowcy, a one — amatorki.
— Amatorki!! Te amatorki zdobywają obecnie nagrody na konkursach międzynarodowych! Tak, kobiety wszędzie robią nam konkurencję.
— Więc dobrze. Przyjdę zobaczyć te groźne konkurentki.

*

Niedziela słoneczna, roześmiana wiosną. Na Koszykowej ruch samochodów niezwykły. W ujeżdżalni W. S. W. wszystkie trybuny szczelnie wypełnione publicznością. Parcours miękko wysypany piaskiem i trocinami. Przeszkód 12, gęsto rozstawionych. Wysokość 1 m., szerokość 2 m. Kręcą się Amazonki na pięknych rasowych koniach, prowadząc je zręcznie i pewnie i jeszcze raz próbując swych wierzchowców. Publiczność z zainteresowaniem śledzi te ewolucje, z fachową życzliwością obserwuje panie i konie; padają krytyki i zachwyty.

Orkiestra gra marsza. Amazonki defilują. W słonecznych blaskach złotem mienią się kasztany i gniadosze, połyskiem stali lśnią kare. Na sygnał wszystkie panie opuszczają ujeżdżalnię.

Pobudka. Donośny głos obwieszcza nazwisko jeźdźczyni i imię konia. Na pięknym kasztanie „w szranki" wpada pierwsza amazonka. Z brawurą bierze przeszkody jedna po drugiej — niestety: na którejś tam koń „zaczepia". Odnotowuje się punkty karne... Następna przejeżdża „czysto" i znika, przeprowadzana hucznemi oklaskami. Pozostałe również wykazują wysoką klasę jazdy i opanowanie konia, ale mają po parę punktów karnych.

Pierwszy konkurs skończony. Przy dźwiękach tryumfalnego marsza zwyciężczynie wyjeżdżają na środek, gdzie z rąk prezeski Klubu Jeździeckiego Rodziny Wojskowej, p. Marji Biskupskiej, otrzymują nagrodę: wstęgę honorową.

*

— A teraz nastąpi konkurs mieszany: jeżdżą panowie i panie — owe, przez pania tak nazwane „amatorki". Widzi pani, już podwyższają przeszkody: wysokość wynosi obecnie 1 m. 20 cm., a szerokość 3 m. — objaśnia mi uprzejmie rotmistrz.



P. Zofja Kucińska i jej koń Amor

Publiczność silnie zemocjonowana. Znów pobudka i na tor wyjeżdża rtm. K. Małochleb, zrośnięty, zda się, ze swym wierzchowcem. „Spiewająco" bierze wszystkie przeszkody. Potem jeździ kilkunastu oficerów ułanów i szwoleżerów. Wszyscy — z wyjątkiem trzech, którzy czysto wzięli wszystkie przeszkody, — zaczepiają, wywracają przeszkody, lub konie „wyłamują"...

— Więc jakże będzie z paniami, uparcie płącze mi się trwożna myśl, gdy ci zawodowi?... Skompromitują się, biedactwa, doszczętnie...

Oto wyjeżdża śmiała amazonka, p-ni Zofja Kucińska na swym „Paradoksie". Bierze wszystkie przeszkody z rozmachem, bardzo spokojnie, pewnie i czysto. Nagradza ją burza oklasków. Następna, panna Chodkiewiczówna, również jeździ doskonale i przebywa „parcours" znakomicie.

Obie panie zwyciężają.

Wynik wcale piękny: na kilkunastu jeźdźców zdobywa odznakę trzech i na dwie panie — obie. Tak, istotnie, ko-



Uczestniczki konkursu hipicznego Rodziny Wojskowej

biety — to groźna konkurencja dla mężczyzn na każdem polu.

*

— Wie pani, dlaczego tak jest? — odpowiada mi p. majorowa H. Jurgielewiczowa, przewodnicząca Klubu Sportowego Rodziny Wojskowej — bo kobiety mają nietylko większe zamiłowanie do konia, ale pracują z większą wytrwałością i sumiennością. Więc i wyniki lepsze. Z klubu naszego kilka pań bierze udział w międzynarodowych konkursach hippicznych i również zwycięża. W Małopolsce znane są, jako doskonałe jeźdźczynie panny Czaykowskie, w Warszawie — panna Sikorska zdobywa pierwszą nagrodę.

— Pozwoli pani, że zadam może niedyskretne, ale ważne w dzisiejszych czasach pytanie: czy przeciętna śmiertelniczka może obecnie pozwolić sobie na koszt sportu jeździeckiego?

— Sport ten nie jest kosztowny, bo Rodzina Wojskowa ułatwia to przy pomocy wojska. Opłata miesięczna wynosi dla członkiń zł. 8, dla pań z poza R. W. zł. 12. Za to każda z pań otrzymuje konia, odstawionego do jej wyłącznego użytku i pobiera lekcje trzy razy w tygodniu w tejże ujeżdżalni.

— Czy dużo pań korzysta z tych ułatwień?

— W tym roku zapisanych jest około stu. Istnieją dwa kursy: niższy i wyższy.

Kalendarzyk urlopowy

Każdy po całorocznej pracy czeka z utęsknieniem daty letniego wypoczynku. Jeszcze od tej daty dzieli nas wiele tygodni, ale z dniem każdym ubywa kartek w kalendarzu.

Jak spędzić urlop — oto jest pytanie, na które pragnęlibyśmy dać sobie najlepszą, najbardziej obiecującą odpowiedź. By zdecydować rzeczywiście najlepiej, by zapewnić sobie maximum wrażeń i maximum odpoczynku przy minimum nakładu energji i kosztów, sięgnijmy po kalendarzyk wycieczki Linji Gdynia—Ameryka. Dnia 3 lipca — wycieczka na Fjordy, 21 lipca do Kopenhagi, 22 lipca do Anglji i Holandji, 29 lipca do Francji i Belgji, 4 sierpnia wokół Wielkiej Brytanji, 15 sierpnia do Sztokholmu i 21 sierpnia do Anglji i Belgji.

Którą datę wybrać?

Jedno jest pewne: każda z tych wycieczek pozwoli nam zwiedzić conajmniej jeden ciekawy kraj, każda z nich gwarantuje wspaniałą podróż morską, moc wrażeń i całkowitą regenerację dobrego samopoczucia.

*

Rozumiejąc, iż zagadnienia wiedzy współczesnej przestały być kwestjami interesującymi szczupłe grono specjalistów, lecz stanowią ośrodek zainteresowania całej ludzkości — ruchliwe Wydawnictwo Roju wprowadziło nową serję p. t. „Dokumenty epoki".

Zadaniem redakcji będzie odpowiedni dobór książek najwybitniejszych pisarzy i myślicieli popularyzujących wiedzę o współczesnym świecie.

Dotychczas w serji ukazały się:

Dr. Gerhard Dobbert CZERWONA GOSPODARKA . . . . . . Zł. 10.—.

A. Janta Połczyński WGŁĄB Z. S. S. R. . . . . Zł. 10.—.

Dr. A. Szczepański DRAPACZE I ŚMIETNIKI . . . . Zł. 10.—.

Bertrand Russell WYCHOWANIE A USTRÓJ SPOŁECZNY . . . .Zł. 10.—.

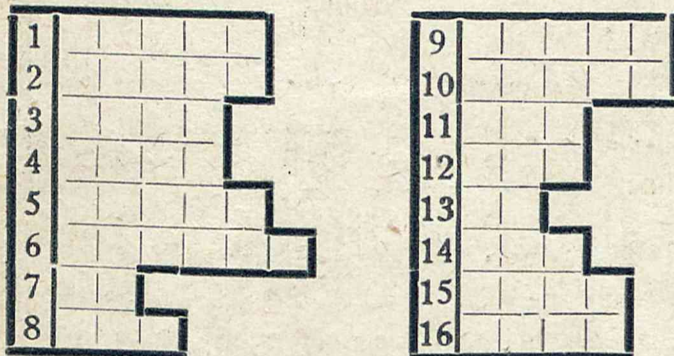
Dalsze tomy w przygotowaniu.

Rozrywki Umysłowe

№ 118 (220) WYSUWANKA

Ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 5 punktów).



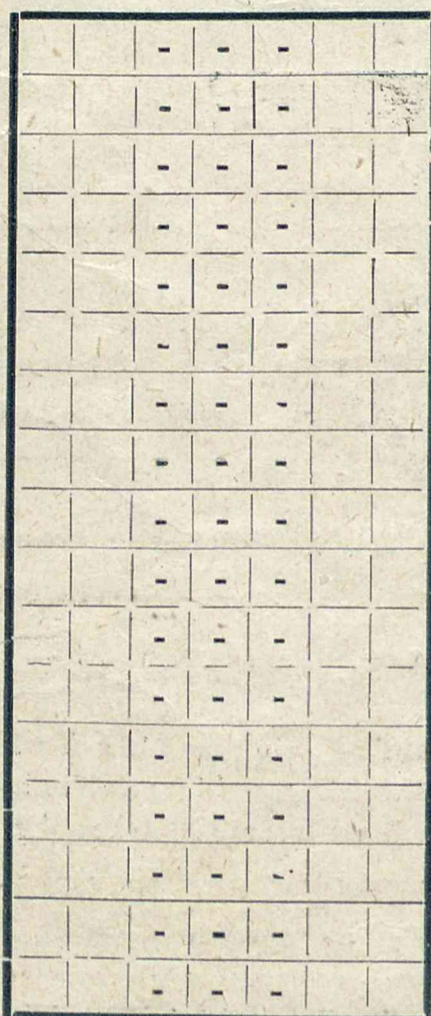
W daną figurę należy wpisać 16 wyrazów poziomych o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki). Pozostałe litery, czytane poziomo, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Podpory do przepiłowywania drzewa. 2. Wóz do jeżdżenia po śniegu. 3. Siedziba Kozaków zaporoskich. 4. Pragnę, życzę sobie. 5. Pieniądz. 6. Sukmana górali tatrzańskich. 7. Spółgłoska (fonetycznie). 8. Węgiel domu, narożnik (wspak). 9. Wiązadło, spojenie 2 p. l. p.) wspak. 10. Zimno umiarkowane (wspak). 11. Liczebnik, używany przy rzeczownikach męskich nieosobowych i nijakich (2 p.) wspak. 12. Gatunek wierzby (2 p. l. mn.) wspak. 13. Gatunek wierzby (2 p. l. mn.). 14. Tumor, nabrzmiałość. 15. Miejsce w kościele, gdzie są organy. 16. Udzielam nauki, daję lekcje.

№ 119 (221) LOGOGRYF

Ułożył Zenon Brenek

(Za rozwiązanie 7 punktów)



W podaną figurę wpisać 17 wyrazów. Rzędy oznaczone kropkami, czytane pionowo, dadzą imię i nazwisko znakomitego pisarza polskiego, oraz tytuły dwóch jego krótszych utworów.

Znaczenie wyrazów: 1. Domieszka do kawy. 2. Cesarz Abisyński. 3. Skład pak, towarów, bagaży (wspak). 4. Drzewo owocowe. 5. Niedawno zmarły językoznawca i gramatyk Polski. 6. Miasto powiatowe w województwie lwowskiem. 7. Łańcuch górski ciągnący się w płn. Dahomeju (Afryka). 8. Poufały tytuł staropolski. 9. Część pługa (wspak). 10. Wulkan na wyspie Kiu-Sziu (Japonja). 11. Inaczej możliwości. 12. Inaczej bobo. 13. Ciemięzca. 14. Projekt rządu niemieckiego połączenia Austrji z Rzeszą niemiecką. 16. Ciężar. 17. Koń stepowy.

Rozwiązanie zadań

№ 112 (214) DOPEŁNIANKA.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzęsielnica. 2. Przepuklina. 3. Korzeniówka. 4. Doprzęgarka. 5. Jastrzębiec. 6. Przegrzebek. 7. Ciecierzyca. 8. Czystodrzew. 9. Kartoflarze. 10. Preliminarz.

№ 113 (215) REBUS.

Nigdy nie wiadomo, kiedy kobieta kłamie, a kiedy łże. (Zygmunt Kawecki: „Dramat Kaliny").

Trafne rozwiązania nadesłali:

№ 112 (214). (Za rozwiązanie 5 punktów). Marja Strubel. Kazimierz Lilpop. Jawna Kowalska. Kaz. Wiśniewski. Fr. Wiśniewski. Lili. Zenon Brenek. Z. Tietz. N. K. Kozłowski. Dorota Herbstmanówna. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Jan Janczewski (Wilno). Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. Józef Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Tański. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

№ 113 (214). (Za rozwiązanie 7 punktów). Jan Janczewski (Wilno). Marja Bugajska (Kłobucko). Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Fr. Wiśniewski. Józefa Wolińska. Zenon Brenek. Jan Krudysz (Cieszyn). Wacław Tyblewski (Poznań). Mira Suzinowa. Inż. Modrzejewski (Poznań). N. K. Kozłowski. Z. Tietz. Dorota Herbstmanówna. Zygmunt Pieracki (Wilno). Lili. Jawna Kowalska. Marja Strubel. Kazimierz Lilpop. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska. Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński. Helena Millerowa (Kraków).

NAGRODY OTRZYMALI:

Jan Kowalski (Warszawa) — książkę.
Helena Millerowa (Kraków) — książkę.

ODPOWIEDZI KIEROWNIKA DZIAŁU:

Wp. Tyblewskiemu w Poznaniu: Rozwiązania zadań № 109, 110, 111 otrzymaliśmy z opóźnieniem. Punkty zaliczamy.

Wp. Janczewskiemu w Wilnie: Rozwiązania zadań № 110, 111 opóźnione. Punkty zaliczamy.

Wp. Bugajskiej w Kłobucku: Za opóźnione, lecz trafne rozwiązania zadań № 107, 109, 110, 111 punkty zaliczamy.

Wp. Kwiekowej w Dobrzelinie: Rozwiązania zadań № 110, 111 otrzymaliśmy z opóźnieniem. Należną ilość punktów zaliczamy.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa